NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 18 grudnia 1909. Nr. 51.

Trup w rzece.

(Treść na str. 2)



Nr. 51. „Nowości illustrowanych“ zawiera: Nowy gmach Izby handlowej w Czerniowcach. — Kurs rolniczo-weterynaryjny w Zakopanem. — Esperantyści lwowscy. — Bursa akademicka w Krakowie. — Ofiara aeronautyki. — Jubileusz pracy drukarskiej. — Pożar gazowni. — Zamach na generała. — Profesor awiatyki. — Pomnik Kościuszki w Krakowie. — Po czterdziestu latach pracy.

Potworny mord w Warszawie.

Trup w rzece.

(Do illustracyi tytułowej).

Stolicę Niemiec, Berlin, nie od dziś nazywają nowożytnym Babilonem. I słusznie, gdyż w żadnem może innem mieście europejskiem nie kwitnie tak straszna, tak wyuzdana rozpusta, nigdzie może niema takiego zepsucia i nigdzie społeczeństwo nie jest tak nawkróś zgangrenowane, jak właśnie w Berlinie. Zbrodnie najstraszniejsze są też tam na porządku dziennym.

Właśnie jedną z nich odkryto niedawno zupełnie przypadkowo. Oto przed paru dniami ujrzało dwóch ludzi na falach Sprewy jakiś przedmiot, owinięty w papiery, a przypominający tułów ludzki. Ludzie ci znajdowali się na łodzi, podpłynęli więc bliżej i hakami przyciągnęli tajemniczy pakiet ku sobie. Wciągnąwszy go następnie do wnętrza łodzi i odwinąwszy brudny papier, przekonali się ku swemu przerażeniu, iż zawiera on straszliwie poćwiartowane zwłoki kobiety.

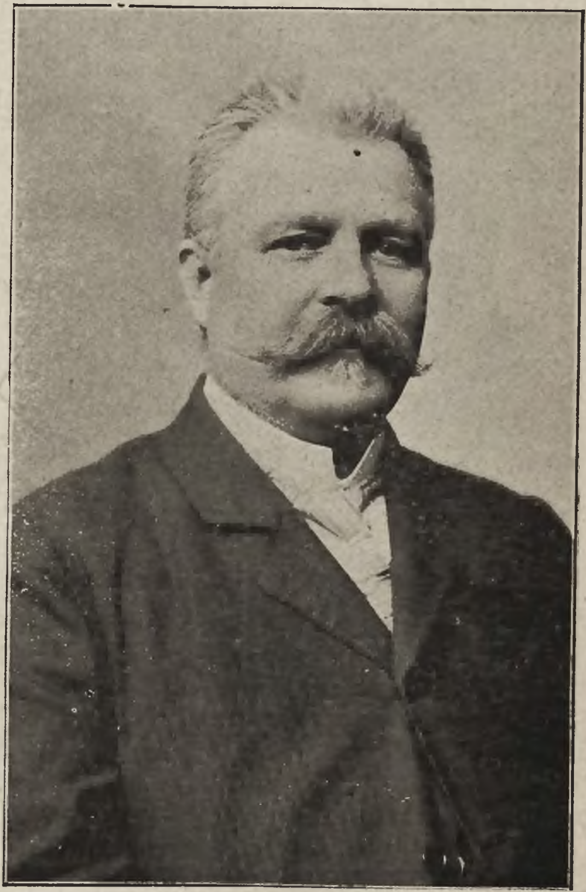
Ciało ofiary zwyrodniałej zbrodni było w pasie zupełnie przecięte jakiemś ostrem narzędziem. Głowa i nogi oraz jedna ręka, podcinane od tułowia, świadczyły o zdziczeniu mordercy, tak samo cały szereg drobniejszych uszkodzeń ciała.

Zawiadomiono niezwłocznie policyę o znalezieniu trupa, a ta rozpoczęła dochodzenie zarówno w celu stwierdzenia identyczności zamordowanej kobiety jak w celu wyśledzenia zbrodniarza.

Nasza rycina tytułowa przedstawia chwilę znalezienia zwłok na falach Sprewy.



Nowy gmach izby handlowej w Czerniowcach: Reprezentanci władz centralnych i autonomicznych Bukowiny witają ministra handlu dra Weisskirchnera (1). W tyle prezydent kraju Bleyleben (2).



Jubileusz pracy drukarskiej: Józef Neuman.

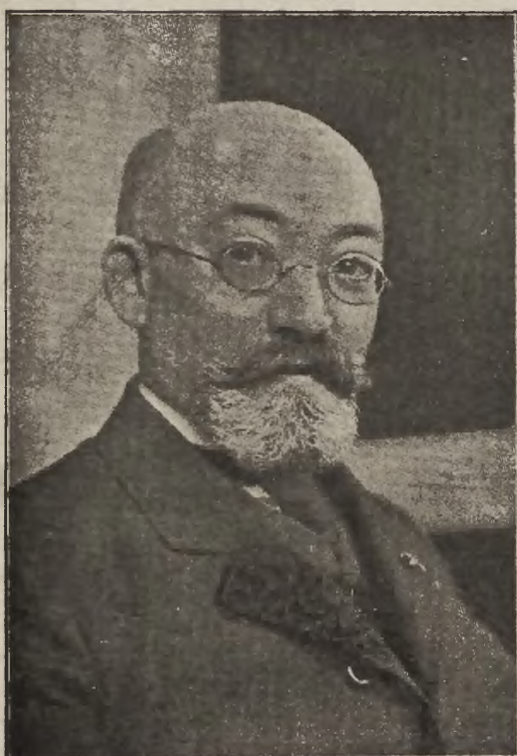


Nowy gmach izby handlowej w Czerniowcach: Widok gmachu od strony frontowej.

Nowy gmach Izby handlowej w Czerniowcach.

Podniesienie ruchu handlowego i wytwórczego na Bukowinie, będącej krajem granicznym i mającej dlatego wszystkie dane, aby się stać ośrodkiem ruchu eksportowego do Rumunii i na Bałkan, jest jednem z najpierwszych zadań rządu wobec tej tak pod względem gospodarczym zaniedbanej prowincyi.

W ostatnich czasach rząd centralny zaczął więcej interesować się Bukowiną, a wyrazem tego było



Esperantyści lwowscy: Twórca esperanto, dr. L. Zamenhof.

przybycie ministra handlu dra Weisskirchnera na uroczystość otwarcia nowego gmachu Izby handlowej i przemysłowej w Czerniowcach.

Do Czerniowiec przybył dr. Weisskirchner w poniedziałek 6 grudnia w towarzystwie szefów sekcyi dra Broshego, dra Prandtnera i sekretarza ministeryalnego dra Löwenfelda-Russa.

O godz. wpół do 11-tej przed południem odbyło się uroczyste otwarcie nowego gmachu Izby handlowej w obecności ministra, naczelników i reprezentantów władz państwowych i autonomicznych, posłów sejmowych i parlamentarnych, członków Izby handlowej (wśród nich pp. Karol Borysławski i Kajetan Romanowicz) i wybitniejszych reprezentantów świata handlowego.

Z okazyi otwarcia nowego gmachu cesarz nadał członkom Izby kilka odznaczeń.

Ofiara aeronautyki.

(Do illustracyi na stronie 10).

Aeronautyka pochłonęła w roku bieżącym już niejedną ofiarę. Szczególnie pośród awiatorów, dogłym tygodniu nowa. Oto doszła z Nicei wiadomość, że z szeregu śmiałych i odważnych pilotów ubył jeden z mniej głośnych ale najzdolniejszych: M. Fernandez.

Jego aeroplan dwupłaszczyznowy zwrócił na się powszechną uwagę już w czasie ostatniej wystawy aeronautycznej przez swą niezwykłą lekkość i harmonijność linii. Przypominał on pod wielu względami aeroplan Curtissa a niezwykła równowaga, jaką biplan Fernandeza posiadał, przypominała maszynę Wrighta. Biplan Fernandeza miał 8 m. długości, a powierzchnie nośne 26 m. Ważył 280 kg.

Z pochodzenia Hiszpan, mieszkał Fernandez zimą



Kurs rolniczo-weterynaryjny w Zakopanem: Grono uczestników kursu.

konywujących zdobycia powietrza przy pomocy aeroplanów, katastrofy wydarzają się w ostatnich miesiącach dość często. Pierwsze wzloty aeroplanów odbywały się dość gładko, tak że zaczynało ucierać się mniemanie, iż wzloty aeroplanem są mniej ryzykowne niż balonem. Dalsze doświadczenia mniemanie to zmieniły. Do licznych zaś ofiar przybyła w ubiestale w Nicei, gdzie posiadał własny dom. Po szeregu udałych wzlotów, przedsięwziął śmiały aeronauta w poniedziałek 7 b. m. w Nicei wzlot, którym miał stworzyć nowy rekord wzlotu na wysokość. Gdy biplan znalazł się na wysokości 500 m., eksplodował nagle motor, a Fernandez spadł i zabił się na miejscu.



Fot. M. Münz, Lwów.

Esperantyści lwowscy: Wydział i członkowie lwowskiego tow. Esperanto z prezesem dr. B. Skałkowskim w pośrodku.

Smierć śmiałego awiatora wywołała w kołach sportowych smutek i przygnębienie.

Bursa akademicka w Krakowie.

Dzięki zabiegom seniora bursy akademickiej, prof. Żórawskiego, stanął w tym roku nowy, olbrzymi gmach bursy, w którym rok rocznie znajdzie pomieszczenie około 100 uczniów szkół średnich i słuchaczów uniwersytetu.

W wielkiem podwórzu domu przy ul. Garbarskiej l. 7., utworzonem z dawnego ogrodu, wznosi się trzypiętrowy budynek, zbudowany według wymogów hygieny, tak aby pensyonarze bursy mieli jaknajwięcej światła i powietrza. Parcela z jednej strony przytyka do ogrodu OO. Karmelitów a z drugiej do posiadłości OO. Zmartwychwstańców.

Pierwsze i drugie piętro a częściowo i parter zajęty jest przez gimnazyalistów, trzecie piętro przeznaczono na mieszkania dla akademików. Centralne ogrzewanie, należyta wentylacya, łazienki i wodociągi wskazują na to, że przy budowie nowego gmachu miano na względzie przedewszystkiem hygienę przyszłych tego gmachu mieszkańców.

Poświęcenia nowego budynku w d. 12 b. m. dokonał ks. biskup Nowak w asystencyi miejscowego proboszcza ks. Błonarowicza, ks. kanonika dra Caputy i duchowieństwa. W podniosłej uroczystości wziął udział namiestnik dr. Bobrzyński, delegat dr. Fedorowicz, rektor uniwersytetu dr. Łazarski wraz z senatem akademickim, prezydyum miasta Krakowa i liczne zastępy młodzieży uniwersyteckiej.

„Quo vadis“ jako opera.

(Do illustracyi na stronie 10).

Dzieła historyczne Sienkiewicza cieszą się u obcych nie mniejszem powodzeniem niż wśród naszego społeczeństwa. Z dzieł tych niejedno już przybrało szatę sceniczną i było atrakcyą nie tylko scen polskich ale i zagranicznych.

W tych dniach jedna z najpiękniejszych powieści Henryka Sienkiewicza, jedno z arcydzieł literatury pięknej całego świata, „Quo vadis“, ujrzało światło kinkietów, jako opera w teatrze lirycznym w Paryżu.

Opera, do której libretto ułożył, trzymając się wiernie powieści, Henryk Cain, a muzykę skomponował Jan Nougués, zdobyła sobie odrazu trwałe powodzenie w stolicy Francyi. Aczkolwiek niektórzy recenzenci zarzucali kompozytorowi, iż zbytnio naśladuje nowoczesną muzykę włoską, iż niektóre motywy muzyczne, illustrujące orgie nerońskie, są pod względem orkiestralnym zbyt hałaśliwe, mimo to ostatnia instancya t. j. publiczność zaliczyła „Quo vadis“ do swych ulubionych oper. Powodzenie opery było tak wielkie, że nawet recenzenci zamilkli, wiedząc, iż publiczność wbrew ich krytykom przyjmuje operę niezwykle przychylnie, a poprzestali na postawieniu pytania, czy powodzenie i tryumfy nowej opery będą trwałe.

Kompozytor p. Nouguès jest jednym z najzdolniejszych muzyków współczesnych, a niedawno w teatrze komicznym w Paryżu wystawiono jego operę „Chiquito“, osnutą na motywach baskijskich, którą tak recenzenci jak i publiczność przyjęła przychylnie.



Kurs rolniczo-weterynaryjny: Grono nauczycielskie w otoczeniu słuchaczów.

Profesor awiatyki.

Wspaniały i szybki ogromnie rozwój sportu awiatycznego, zapewniający mu ogromną przyszłość, skłonił władze austryackie do utworzenia w Wiedniu na tamtejszej politechnice katedry awiatyki, połączonej z wykładami o automobiliźmie. Katedrę tę powierzono młodemu ale znanemu ze swych prac naukowych w zakresie obu sportów inżynierowi Knollerowi, przyczem przyznano mu tytuł nadzwyczajnego profesora.

Utworzenie tej katedry przez rząd austryacki jest istotnie nadzwyczajną rzeczą. Dotąd przywykliśmy, że w sprawach postępu Austrya szła na szarym końcu i decydowała się na śmielsze kroki dopiero wówczas, kiedy inne państwa daną rzecz u siebie dawno wprowadziły. Tym razem stało się inaczej i katedra awiatyki w Wiedniu jest jedną z pierwszych w Europie.



Bursa akademicka w Krakowie: Nowy gmach bursy, wystawiony w ogrodzie domu przy ul Garbarskiej 7, według planów architekta Pakiesa.



Zamach na jenerała: Vernand, komendant Paryża.

Nasza nowa powieść.

W bieżącym numerze rozpoczynamy druk nowej powieści p. t. **„Człowiek bez twarzy“**, pióra jednego z najwybitniejszych autorów francuskich, Alberta Boissiera'a. Młody ten pisarz zdobył sobie już taką poczytność, iż cały pierwszy nakład powieści: „Człowiek bez twarzy“, został rozsprzedany w niespełna dwa tygodnie.

Nadzwyczaj zajmująca powieść Boissiere'a obudziła niezwykłe zainteresowanie w całym świecie dzięki swej treści, opartej na autentycznych tragicznych wypadkach, jakie się rozegrały w rodzinie pewnego artysty i pewnego finansowego potentata amerykańskiego.

Mamy też niepłonną nadzieję, iż utwór ten, pozbawiony wszelkich cech kryminalnych romansów, a przytem nadzwyczaj sensacyjny i napisany z wielkim talentem, będzie się podobał P. T. Czytelnikom.

Człowiek bez twarzy.

1

I.

Wracałem z nad brzegów Marny z kilkoma zaledwie płotkami po kilku godzinach niewdzięcznej pracy, gdy nagle, przechodząc koło parkanu małej willi, obrośniętej bluszczem, usłyszałem cokolwiek przestraszony głos emerytowanego oficera, zwanego powszechnie w okolicy „Mrugaczem“:

— Barrabas! Panie Barrabas!

Podszedłem bliżej, by dowiedzieć się, czego odemnie żąda, gdy niespodzianie bez żadnych ogródek objawił mi straszną wieść:

— Niech pan śpieszy do domu! Przed chwilą znaleziono pańską żonę w kałuży krwi!

Po słowach tych, nie dodając żadnych wyjaśnień, obrócił się po wojskowemu na pięcie i znikł szybko w alei z róż, wiodącej do głównego wejścia willi. Przyjąłem to za niesmaczny i grubiański żart, jakiego zresztą można było się spodziewać po jego autorze, znanym narwańcu. Za całą odpowiedź usłyszał on tylko jeden z mych częstych wybuchów śmiechu, jakie mi ciągle wyrzucano, uważając to za dowód lekkomyślności, niestosownej dla człowieka, obarczonego już piątym krzyżykiem; mimo mych czterdziestu pięciu lat uchodziłem bowiem za niepoprawnego łobuza.

Nie śpieszac się wcale, tym samym równym krokiem, z wędką na ramieniu i fajką w ustach ruszyłem naprzód... Skręcałem już na boczną drogę, gdy matka Carré, zajęta rozwieszaniem na żywopłocie swych świeżo upranych chust, rzuciła nagle swą robotę i zwróciła się do mnie takim samym drżącym ze wzruszenia głosem:

— Panie Barrabas! Niechże pan się śpieszy, na miłość Boga! Nie wie pan jeszcze o nieszczęściu, jakie pana czeka!

I ona również odwróciła się potem do mnie plecami i szybko pobiegła do swego domu, jakby się niespodzianie przestraszyła mych długich włosów artysty, jakiemi się pyszniłem i mej szeroko rozrośniętej brody...

Przechodził jakiś murarz ze swym pomocnikiem i on także, zwracając głowę w przeciwną do mnie stronę, mruknął, ale nie tak cicho, bym nie dosłyszał:

— Nie bardzo mu pilno! Eh, ten Barrabas, waryacki król.

Jak emerytowany oficer, ochrzczony Mrugaczem, tak i ja nigdy nie obrażałem się swem przezwiskiem, zwłaszcza w tych stronach, gdzie sąsiedzi znajdują jakąś specyalną przyjemność w nadawaniu sobie wzajemnie najrozmaitszych, często śmiesznych przydomków... Mój zapewne pochodził z tego powodu, że życie me pełne prostoty, pozbawione wszelkich kłopotów i ambicyi, płynęło w oczach wszystkich zupełnie spokojnie, z myślą tylko o żonie Gabryeli, synu Polidorze i córce Ewelinie... Ludzie, którzy życie swe marnują na daremne zabiegi, krzywo na mnie patrzyli, widząc jak wygrzewam się na słońcu z fajeczką w ustach, wysiaduję nad rzeką z wędką w ręku i śpiewam od rana do wieczora. Ludzie, którzy nie umieli upiększyć swego życia choć odrobiną sztuki, wskazywali na mnie palcami i nazywali wzgardliwie „artystą“, uważając me rzeźbienie za bezpożyteczną stratę czasu. Proszę dodać do tego me długie włosy i rzucanie w rozmowie paradoksów, a okaże się zupełnie zrozumiałem, dlaczego uchodziłem w Bry za oryginała i dlaczego ozdobiono mnie tytułem „waryackiego króla“, rzuconym mi w przejściu przez murarza, dokładnego wyraziciela opinii publicznej.

Ani słowa „Mrugacza“, ani wezwanie do pośpiechu matki Carré nie przestraszyły mnie wcale. Było dla mnie fizycznie wprost niezrozumiałem, aby w biały dzień zamordowano moją żonę, którą o ósmej rano zostawiłem w towarzystwie syna, córki i służącej, w naszej odosobnionej, co prawda, trochę willi, ale nie tak oddalonej od innych domów, by być narażonym na takie niebezpieczeństwo. Z ciekawości też jedynie, przyśpieszyłem cokolwiek kroku.

Było punktualnie dziesięć minut po jedenastej, gdy popchnąłem furtkę naszego ogródka. Cisza mojego małego domku, kąpiącego się w potokach złotych promieni słońca i ocienionego gęstemi zwojami pnących roślin, najlepiej zaprzeczała gadaninie o dramacie, zmyślonym przez napotkanych plotkarzy. Brutus, śpiąc wygodnie w swej budzie pod cieniem kasztana, zaledwie raczył z rozleniwienia podnieść jedną powiekę i rzucić mi na powitanie ospałe, zielonkawe spojrzenie.

Pociągnąłem za klamkę od drzwi i wszedłem do środka. Prawdę powiem, że zdejmując z siebie swe przyrządy rybołowcze, byłem trochę zaintrygowany, dlaczego naprzeciw mnie nie wyszła ani Gabryela, ani Polidor, ani Ewelina, kaszlnąłem więc głośno i nawet zanuciłem jedną zwrotkę ze swego repertoaru, by oznajmić swój powrót... Milczenie jednak nie ustawało... Otworzyłem drzwi do pokoju jadalnego... Nikogo! Wszedłem do swej pracowni rzeźbiarskiej i tu przerażający widok, jakgdyby przykuł mnie na miejscu...

Przed długą i szeroką kanapą, na dywanie, z twarzą, zwróconą do podłogi, z wyciągniętemi rękami, z dłońmi, zaciśniętemi kurczowo, leżała Gabryela, ma ukochana żona... Ze strzaskanej skroni, przez którą uleciało już życie, spływała krew, znacząc się wielką, czerwoną plamą... W tej rozpaczliwej dla mnie chwili zdawało mi się, że serce me przestaje bić, że dusza ulata z piersi, a na jej miejscu powstaje jakaś gniotąca pustka...

Padłem na kolana przy zwłokach i schwyciłem jej zimne, zesztywniałe już ręce; wpatrywałem się w jej błękitne oczy i w zaciśnięte usta, które zawarły się, jak gdyby nie chciały wyjawić ajemnicy rozegranego tu dramatu!... Więcej, niż ta przerażająca rana, więcej niż szkliste jej oczy, przestraszały mnie te nieme, z nabrzmiałemi wargami usta, w których widziałem tajemniczy symbol tego, czego nie mogłem ani przypuszczać, ani odgadnąć!... Oczy me dojrzały leżące na dywanie narzędzie zbrodni. Był to zwykły młotek o krótkiej rękojeści, którego ciągle używałem przy wykuwaniu z marmuru rzeźbionych przez siebie postaci.

Z młotka oblepionego krwią i przyschniętymi włosami ofiary, wzrok mój przeszedł na stojący w pośrodku pracowni biały, niewykończony posąg, do którego pozowała mi Gabryela; oczy me napełniły się łzami na widok martwego, mego ukochanego modelu i jakby odżywającej teraz w marmurze statuy... Rozpacz powaliła mnie na ziemię...

Wreszcie opanowałem się i wybiegając z pracowni, zawołałem ze wszystkich sił:

— Ewelino! Polidorze!

Ani syn, ani córka nie odpowiedzieli na moje wezwanie. Przeskakując po kilka naraz schodów, pobiegłem na górę, przeczuwając nowe jakieś nieszczęście. Jak poryw wiatru wpadłem do pokoju córki...

Na łóżku, zasłoniętem białemi firankami, leżała Ewelina, jakby pogrążona w śnie, z rękami złożonemi, bez najlżejszego oddechu, bez najmniejszego drgania muskułów na jej pięknej, bladej, niby woskiem pociągniętej twarzy. Ścisnąłem jej maleńką rączkę, na której świecił się cienki pierścionek z małym szmaragdem i potrząsając nią, błagałem:

— Ewelino!... Moje dziecko najdroższe!... Ewelino!...

Pozostała nieruchoma, niema na me prośby; pojąłem, że leży w omdleniu... Polidora nie zastałem w jego pokoju. Obszedłem już cały dom bez najmniejszego skutku, gdy nagle, wchodząc na strych, zdawało mi się, że dosłyszał jakiś jęk przeciągły, dobywający się z kąta, gdzie składano brudną bieliznę... Skierowałem się tam po omacku. Jakaś gorąca i drżąca dłoń schwyciła mnie za rękę... Jednocześnie rozległ się łkający głos:

— Łaski!

Uczułem, jak zimny pot mnie oblewa... W ciemności tu panującej zamigotały przedemną dwa punkty świetlne, były to oczy mego syna. Ścisnąłem silnie rękę, która zresztą nie opierała się wcale i z tej nory wyciągnąłem na światło drżącego na całem ciele, z obłąkanym wyrazem w oczach, mego syna Polidora, którego kochałem jak siebie samego... I w tej chwili tragicznej doznałem dziwnego, niezwykłego wrażenia, że to ja, Barrabas, którego dobrzy ludzie w swej głupocie przezwali królem waryatów, byłem zabójcą własnej żony, umiłowanej towarzyszki mego życia i że to ja, nikt inny, tylko ja, drżę teraz z przestrachu przed Polidorem i że ja sam doprowadziłem do omdlenia swą najdroższą córkę, Ewelinę.

Polidor, bezsilnie słaniający się na nogach, zdawał się osłaniać ramieniem przed ciosami, jakich nie miałem nawet na myśli mu zadawać. Nie puściłem jego ręki, która w dłoni mej była ściśnięta jakby w kleszczach i tak razem zeszliśmy na dół. Pociągnąłem go zaraz przed zwłoki matki i zawołałem stłumionym boleścią głosem:

— Wytłómacz mi zaraz!... Nic nie rozumiem!

Ten duży dwudziestoletni chłopiec roześmiał się tylko jakimś obcym mu, bezdusznym i bezmyślnym śmiechem idyoty i wyjąkał:

— Już się stało! Kucharka pobiegła do Nogent zawiadomić żandarmeryę.

— Lecz kto zabił matkę?... Kto?... Kto?...

— To ja... i to nie ja!... Nie ściskaj tak silnie... Boli mnie to!... Zaraz ci, ojcze, wytłómaczę i wszystko zrozumiesz!

Oswobodziłem go z uścisku... Polidor zachwiał się jak pijany. Schwyciłem za młotek mokry jeszcze od krwi nieszczęśliwej ofiary... Nie czułem, co mi mój umysł dyktuje.

— Tak, dobrze! — rzekł Polidor. — Bij! Bij! Nigdy nie będziesz mógł pojąć... Odmówiła mi pięciu luidorów... Och! To coś strasznego!... Lecz ja tego nie uczyniłem umyślnie, przysięgam ci to!

Wtedy z wyczerpania padłem na kanapę i chwytając się za głowę, chciałem ją podstawić pod uderzenia młotka, by raz przestać czuć. Polidor oparł się o ścianę i nagle głośno załkał. Prawdziwą niemożliwością było dla mnie złączenie w jedno przyczyny i skutku... Nie byłem w stanie wyobrazić sobie, jak mógł ten duży, dwudziestoletni chłopiec, który dotychczas był dla nas prawdziwą radością, zabić swą matkę dla pięciu luidorów, których mu odmówiła.

Polidor był studentem prawa i pilnie uczęszczał na wykłady, posyłaliśmy mu skromną miesięczną pensyę z dwustu franków; w dzielnicy Łacińskiej uchodził on za rozsądnego młodzieńca... W domu był wzorem dobrze wychowanych dzieci i wuj jego, Marcadian, który nie żywił dla mnie wielkiej sympatyi, mawiał żartami: „O ile syn jest rozsądny, o tyle ojciec szalony“.

Pięć luidorów! Przecież on wiedział, że gdyby mi tylko słowo powiedział, znalazłby kieszeń mą dla siebie otwartą. Nieraz korzystał on już z niej i zawsze znajdował mnie gotowym do zaspokojenia jego potrzeb! Pięć luidorów!... To było coś niepojętego. Pozostawałem jak osłupiały, bez żadnych określonych myśli, spoglądając tylko na leżące u mych nóg zwłoki, patrząc w zamarłe oczy mej drogiej żony... I nagle, jak i pierwszym razem, te usta jej z zaciśniętemi wargami, te usta tajemnicze zajęły całą mą uwagę... Usta jej zdawały się zalecać mi milczenie najzupełniejsze, radziły coś, nakazywały, czego nie umiem wyrazić, a co było straszniejsze od samego dramatu... Wydało mi się, że rozumiem już jej niemą radę, jej błagalny rozkaz... Czytałem go w zmarszczkach dokoła warg, pełnych jakiejś niewypowiedzianej litości, w zamkniętych na zawsze ustach. Polidora kochała ponad wszystko i teraz po śmierci, jak do mnie zdawały się mówić milczące jej usta, przebaczała mu wszystko z serca pełnego miłości macierzyńskiej. Błagała mnie, bym nie był sędzią naszego syna i bym oszczędził mu kary, jaki wymierzyć miała sprawiedliwość ludzka. Lecz w jaki sposób mogłem go od tego uchronić? Nie wiedziałem co począć...

Zapytałem Polidora osłabionym głosem:

— Ewelina wie wszystko?

— Wie wszystko!

— A służąca?

— Służąca nic nie wie, co się stało.

— Więc po co udała się do Nogent?

— Ja jej to kazałem. Powiedziałem jej: „Ludwiko, zamordowano moją matkę. Znalazłem ją martwą w pracowni mego ojca!“

— Gotów więc jesteś na wyznanie wszystkiego przed sądem i na poddanie się karze, jaka cię oczekuje?

— Gotów!

— Zasłużyłeś na coś gorszego, niż sądowe skazanie — rzekłem gniewnym tonem.

I nie oczekując jego odpowiedzi, siadłem przy małem biurku, stojącem w obramowaniu okna. Zrodziła się we mnie myśl, którą natychmiast postanowiłem wykonać. Spokojnie, bez najmniejszego wahania, bez żadnych przekreśleń napisałem do brata żony, sławnego adwokata Marcadiana, który nigdy nie mógł się pogodzić z moim charakterem, następujący list:

„Drogi szwagrze!

Sam wiesz, jak wielką, głęboką miłością kochałem zawsze Gabryelę, to też, gdy teraz dowiesz się, żem zabił ją, może znajdziesz dla mego rozpaczliwego czynu, a raczej nieszczęśliwego wypadku jakie łagodzące okoliczności.

Ja nie zamordowałem Gabryeli... Ja zabiłem ją... Ta straszna rzecz stała się w ten sposób:

Prosiłem żonę, by mi pozowała przy wykończaniu posągu „Boleści“, nad którym pracuję już od roku... Przystała na to, jak zawsze chętnie i przyznać muszę, że nie jej winą było, jeżeli nie mogła zrobić tego wyrazu twarzy, jaki był mi potrzebny. Nie jesteś artystą i nie doznajesz tych szalonych napadów gniewu, jakie nami owładają, gdy bijemy się bezsilnie z naszem nie dającem się wyrazić marzeniem. W przystępie właśnie takiego ataku niemocy artystycznej i wypływającej z niej wściekłości, rzuciłem młotkiem, który trzymałem w ręce. Czy mam ci przysięgać na wszystko, że młotek ten zupełnie przypadkowo trafił w Gabryelę i strzaskał jej skroń? Czy mam ci przedstawiać obraz mej rozpaczy, wyrażać słowami przerażenie, jakie mną ogarnęło? Gabryela padła odrazu bez żadnego krzyku, bez ruchu, padła jak masa bezwładna u stóp mej „Boleści“, którąśmy razem tworzyli.

I ten dramat, który spadł na mnie nagle, jak grom z pogodnego nieba, takim bólem mnie przejął, iż gdybym miał broń przy sobie, tą samą bezmyślnym gniewem kierowaną ręką wymierzyłbym sobie sprawiedliwość. Sprawiedliwość! Tak, mój drogi, jest to słowo, co do którego mamy różne pojęcia... Nie będę tu jednak tłómaczył swojego, lecz błagam cię tylko, jako o największą łaskę, bądź ojcem dla mego ukochanego Polidora i najdroższej Eweliny. Nie śmiem już stanąć przed ich oczyma, choć pozbawiła ich matki nie ma zła wola, lecz bezwiedny z mej ręki rzut młotka. Nie lituj się nademną, mimo iż sprawca takiego mimowolnego wypadku jest godny litości na równi z swą ofiarą... Całe swe uczucie przelej tylko na Polidora i Ewelinę. Liczę na ciebie, iż będziesz opiekował się memi dziećmi, dopóki nie pójdą w życie o własnych siłach.

Barrabas“.

Dałem znak Polidorowi, by się zbliżył.

Odszedł od ściany, przy której stał z błędnym wzrokiem, z obwisłemi rękoma i drżącem całem ciałem.

— Przeczytaj to! — rzekłem mu spokojnie.

Przeczytał list do Marcadiana.

Gdy skończył, konwulsyjne drżenie, jakie nim miotało, ustało zupełnie; oczy jego nabrały zwykłego, niewinnego wyrazu; głos stał się równiejszy... Zapytał mnie:

— Co zamierzasz, ojcze, uczynić?

— A ty? — odparłem.

— Och! Ja!...

Zrobił przytem jakiś dwuznaczny ruch, z którego niczego nie można było domyśleć się... Pod wpływem jednak wewnętrznej myśli, panując zupełnie nad sobą choć postawa jego obecna była w dziwnej sprzeczności z poprzedniem osłabieniem, rzekł mi ostrym głosem:

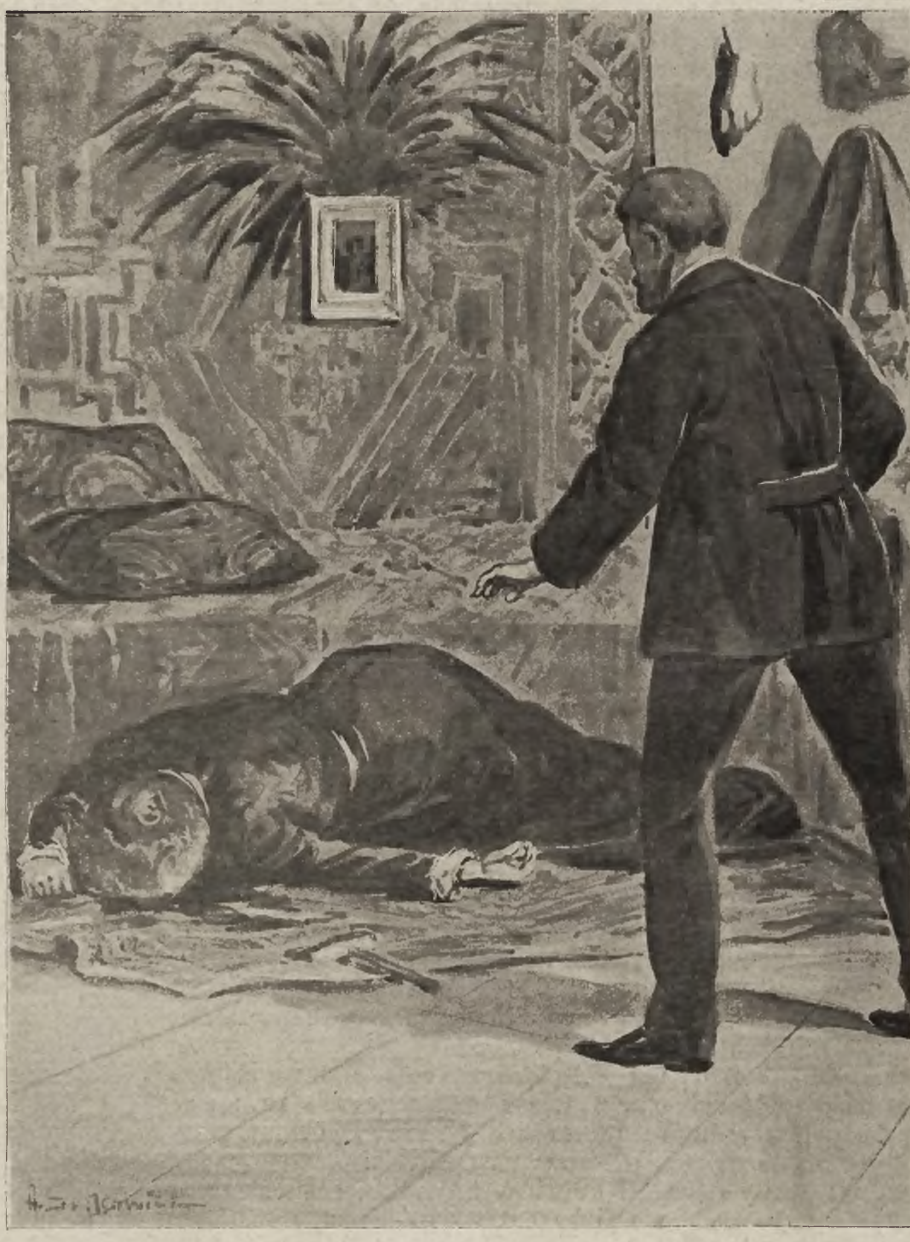
— Daj mi, ojcze, pięć luidorów!

Wzdrygnąłem się cały na te niespodziewane słowa.

Nalegał łagodniejszym już tonem:

— Jeżeli chcesz, bym zaraz z sobą uczynił koniec, będzie to bardzo proste. Samobójstwo me przypiszą rozpaczy z powodu „wypadku“, jaki ty zmyślasz!... Lecz czy dobrowolne samobójstwo, do jakiego jestem gotów, może stanowić odpowiednią karę za zbrodnię, jakiej się dopuściłem?... Nie dla zdobycia twej łaski, ojcze, tłómaczę, jak tyś to uczynił w liście, swój straszny postępek, którego istotnej pobudki sam dobrze nie rozumiem, napadem jakiegoś szalonego gniewu!... A jednak...

— Tak... a jednak — przerwałem — ty kochałeś swą matkę!



Wszedłem do mej pracowni i tu przerażający widok przykuł mnie do miejsca.

Jęknął głęboko, jak człowiek raniony śmiertelnie i powtórzył uparcie:

— Daj mi pięć luidorów.

Wyliczyłem mu natychmiast na biurku pięć złotych monet.

Wziął je i schował starannie do kieszeni. Potem podszedł do zwłok mej ukochanej żony, ukląkł przy nich i gorąco przyłożył swe wargi do zimnych ust swej matki. Czynił widoczne wysiłki, by powstrzymać łkanie, jakie dobywało mu się z piersi. Po kilku chwilach podniósł się nagle... i wyszedł, nie odwracając się, nie żegnając ze mną ani jednem słowem.

Gdy drzwi za nim zamknęły się, nachyliłem się nad cudowną twarzą mej towarzyszki życia... i nagle cofnąłem się w przestrachu. Jej zaciśnięte usta, które zamknęły się, by nie wyjawić tajemnicy, rozwarły się pod synowskim pocałunkiem mordercy i uśmiechały się teraz do mnie, jakby chciały dziękować za spełnienie życzenia, za dołożenie starań, by ocalić nasze nieszczęśliwe dziecko. Twarz jej, której nigdy już nie zobaczę, pokryłem lekką jedwabną materyą i wyszedłem z pracowni, gdzie niewykończony posąg „Boleści“ stał jak pomnik nad grobem mej żony. Poszedłem następnie do pokoju Eweliny... Wziąłem jej małą drobną rączkę w swą dłoń i podniosłem nabożnie do swych ust...

— Bądź zdrowe, dziecko moje! — szepnąłem.

I szybko zbiegłem po schodach. Wyliczyłem, że służąca winna już wkrótce wrócić i że przedstawiciele władzy i sprawiedliwości znajdą za chwilę mój list do Marcadiana.

A jednak wierzyłem nieświadomie w inną sprawiedliwość, w tę, którą mi podyktowały nieme usta mej żony i której tak Polidor jak i ja w sposób, jaki mi następnie okoliczności nasunęły, byliśmy posłuszni.

Udałem się do szopy i przygotowałem samochód do dłuższej na wszelki wypadek podróży. Wyprowadziłem go na drogę, rzuciłem ostatnie spojrzenie na domek, w którym tyle lat spędziłem w szczęściu zupełnem razem z żoną i dziećmi i skąd teraz wyjeżdżałem na zawsze, schwyciłem za kierownik i szybko ruszyłem naprzód.

II.

Tego szczerego i prawdziwego opowiadania o mej niezwykłej przygodzie — muszę wyznać — nie pisałem dla usprawiedliwienia swego nierozsądnego postępowania, lecz tylko „ze względu na umarłą“. Jakież w istocie mogę dać usprawiedliwienie tej ucieczki bez myśli i bez żadnego określonego celu? Ucieczka Polidora, o której dowiedziałem się dopiero później, była prawie że rozsądna, o swojej jednak i tego nie mogę powiedzieć.

Przekonałem się o tem w Lagny, gdzie zatrzymałem się na śniadanie. Gorączka, jaką poczułem w sobie po doznanym przestrachu, ustąpiła już w znacznej mierze. Zacząłem zastanawiać się nad wszystkiemi następstwami swego listu do Marcadiana i rozważać wszelkiego rodzaju niemożliwości, jakie sam na siebie dobrowolnie ściągnąłem. Nie dosyć było oznajmić: „jadę i już mnie więcej nie zobaczycie“, lecz należy zwłaszcza teraz, gdy powrócił rozsądek, rozpatrzeć się w danych, jakie mam dla urzeczywistnienia tego projektu i w przeszkodach, jakie mnie czekają. W razie nawet tego nieprawdopodobnego wypadku, iż do jutra nie zostanę aresztowany, to i wtedy nie będę miał co czynić, rozporządzając tylko swym małym samochodem, niezdatnym do większych podróży.

Jest to jednak tylko drobnostka w całej tej sprawie. Jeżeli nawet uda mi się przekroczyć granicę i zostawić za sobą ciekawą policyę, to dokąd to mnie doprowadzi?... Przy sobie mam tylko tysiąc franków!... A co potem? Doszedłem do tego wniosku, że moja ucieczka była idyotyczną, że jak zawsze w pierwszym przystępie podniecenia kierowałem się tylko nerwami, a nie rozsądkiem. Trzeba więc to naprawić! Zdecydowałem się odrazu jechać do Paryża, udać się wprost do swego szwagra Marcadiana i jego jako sławnego adwokata prosić o radę.

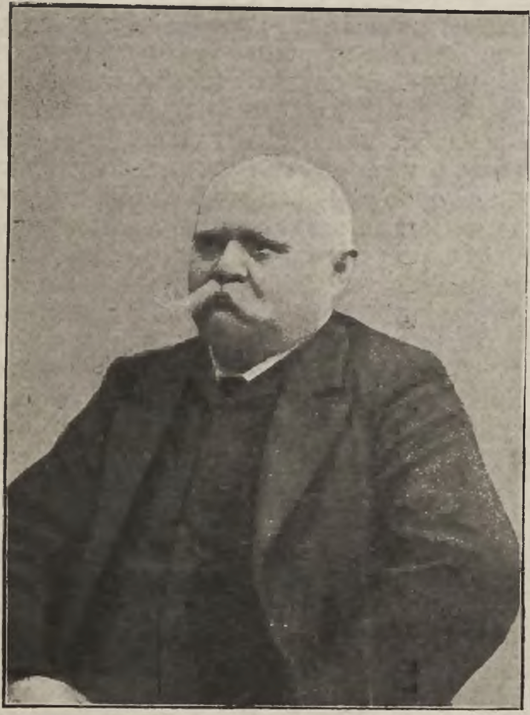
Chcę tu wyznać zaraz już po tych wszystkich strasznych doświadczeniach, jakie mnie oczekiwały i które zniosłem więcej niż z heroizmem, że w istocie myślałem o samobójstwie. Jeżeli nie wykonałem swego zamiaru, to nie z tchórzostwa, lecz tylko z chęci dowiedzenia się, co stało się z Polidorem. Jedynie ciekawość uchroniła mnie od śmierci i ona tylko skłoniła mnie, bym kroki swe skierował przedewszystkiem do Marcadiana.

Pojechałem więc do Paryża i po bezcelowem skręcaniu się do Maux, zatrzymałem się koło czwartej po południu na ulicy Michel Ange w Auteil przed pałacykiem swego szwagra.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Po czterdziestu latach służby.

Stanowisko urzędnika publicznego jest ciężkiem i odpowiedzialnem, stojąc bowiem na straży przestrzegania praw i przepisów, niejednokrotnie narażony jest na konflikt ze społeczeństwem, nie zawsze chcącem zrozumieć, co wolno, a czego nie. Z pomiędzy urzędników różnych dykasteryi, najcięższą służbę mają urzędnicy policyjni, za swą pracę wytężającą nie znajdujący nawet uznania, a przez rząd wynagradzani dość skromnie. Słusznie zauważył jeden z humorystów, że urzędnik policyjny jest dygnitarzem, siedzącym aż na dwu stołkach, ale oba są dziurawe. Jeśli nie wpadnie w jeden, to z pewnością w drugi. Rozumieć to należy w ten sposób, że władza przełożona wymaga od każdego z nich bardzo wiele, a i publiczność, mająca z policyą ciągłą styczność, żąda także o ile możności jak najdalej idących ułatwień i udogodnień. Wypełniając skrupulatnie przepisy, spotyka się urzędnik policyjny z narzekaniami publiczności, idąc jej zaś na rękę, ściąga na się zarzut przełożonej władzy, że jest zanadto miękki i pobłażliwy.



Po czterdziestu latach pracy: Emerytowany adjunkt krakowskiej Dyrekcyi policyi, Tomasz Kwiatkowski.

Umieć pogodzić swój charakter urzędowy z poczuciem obywatelskiem, to prawdziwa sztuka, a przyznać należy, że krakowscy urzędnicy policyjni są w niej mistrzami. Jednym z nich, znanym w najszerszych kołach naszego społeczeństwa, jest p. Tomasz Kwiatkowski, adjunkt krakowskiej Dyrekcyi policyi, który po czterdziestoletniej uciążliwej, a skutecznej pracy, w dniu 1 grudnia b. r. przeszedł w dobrze zasłużony stan spoczynku. Koledzy tracą w nim pilnego i sumiennego współpracownika, krakowska publiczność wyrozumiałego urzędnika, idącego jej na rękę.

Ustępującemu urzędnikowi po ciężkiej, a denerwującej pracy należy się wypoczynek, którego oby używał przez wiele jeszcze lat, w zdrowiu i czerstwości!



Pożar gazowni: Ogólny widok gazowni hamburskiej.

Pożar gazowni.

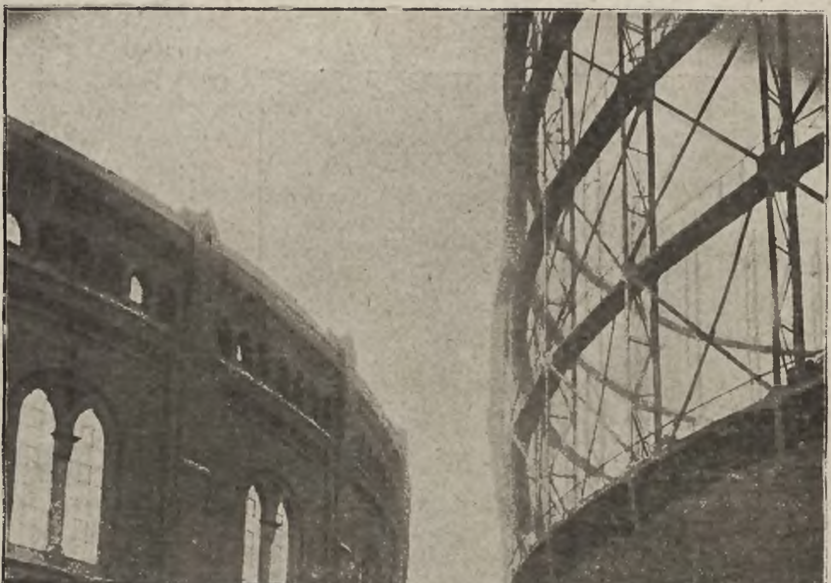
Po raz drugi w przeciągu krótkiego czasu, bo zaledwie paru miesięcy, wydarzyła się wielka katastrofa w gazowni, połączona z wybuchem i ze śmiercią robotników. Niedawno mianowicie padła ofiarą takiego wypadku gazownia miejska w Genewie, stolicy Szwajcaryi, w ubiegłym tygodniu zaś spotkało to gazownię Grasbrook w porcie hamburskim.

Katastrofa rozpoczęła się od wybuchu gazometru, którego budowa nie była nawet jeszcze skończona, a który zawierał około 10.000 metrów sześciennych gazu. Płomienie buchnęły na olbrzymią wysokość i objęły w jednej chwili sąsiednie budynki fabryczne. Mimo wysiłków straży pożarnej nie dało się ognia zlokalizować, to też płomienie objęły po pewnym czasie budynek z drugim gazometrem, napełnionym 40.000 m^3 gazu. Wybuch drugiego gazometru był jeszcze silniejszy i dał się odczuć w całem mieście.

Z powodu olbrzymiej siły pożogi, z powodu szalonego wichru oraz żaru, nie podobna było zbliżyć się do płonących budynków, tak iż z góry zostały one skazane na zniszczenie. Zniszczały też po paru godzinach doszczętnie. Jasna rzecz, że szkoda, wyrządzona przez pożar, idzie w dziesiątki milionów. Gazownia w porcie hamburskim bowiem była olbrzy-



Sport irlandzki: Walka „Glima" w cyrku warszawskim.



Pożar gazowni: Widok gazowni hamburskiej po pożarze.

mia, a przebudowa jej, dopiero w zeszłym roku zakończona, kosztowała 14 milionów marek. Nowy gazometr, który padł ofiarą katastrofy, był największy na kontynencie, a mierzył 76 m. wysokości i 75 m. w średnicy.

Pomijając jednak szkody materyalne, straszna ta katastrofa spowodowała śmierć około 20 robotników, oraz ciężkie i lżejsze pokaleczenie około 40. Dotknęła ona prawie wszystkich tych, którzy w krytycznej chwili znajdowali się bądź na rusztowaniu gazometru bądź w jego sąsiedztwie.

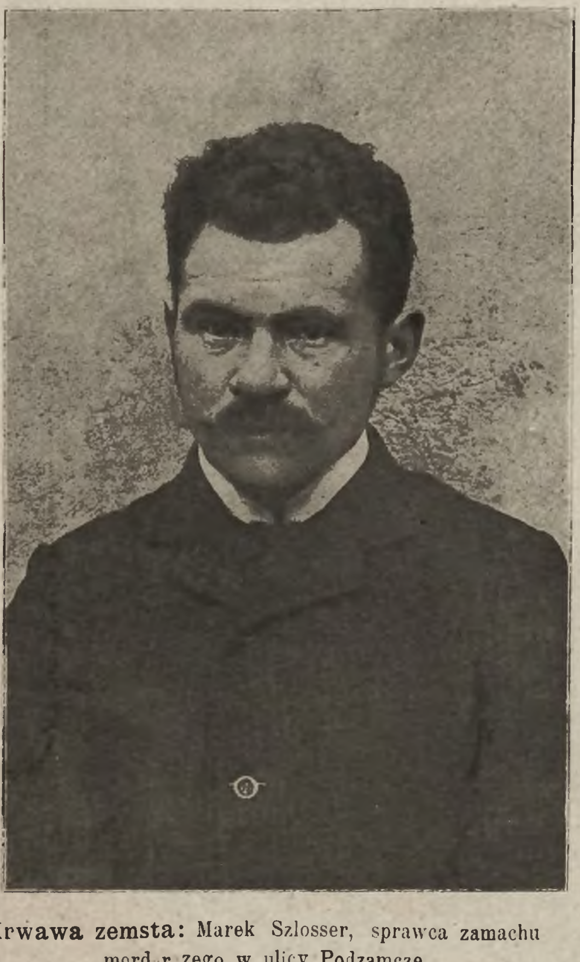


Pożar gazowni: Gazownia hamburska podczas pożaru.

Komisya, wydelegowana przez władze, prowadzi obecnie śledztwo celem stwierdzenia przyczyn katastrofy. Zdaje się, że był nią wytrysk wody zagęszczającej.

Krwawa zemsta.

Na jednej z najcichszych ulic Krakowa, na Podzamczu, rozegrała się 7 b. m. scena, która omało nie skończyła się śmiercią człowieka.



Krwawa zemsta: Marek Szlosser, sprawca zamachu merd rzego w ulicy Podzamcze.

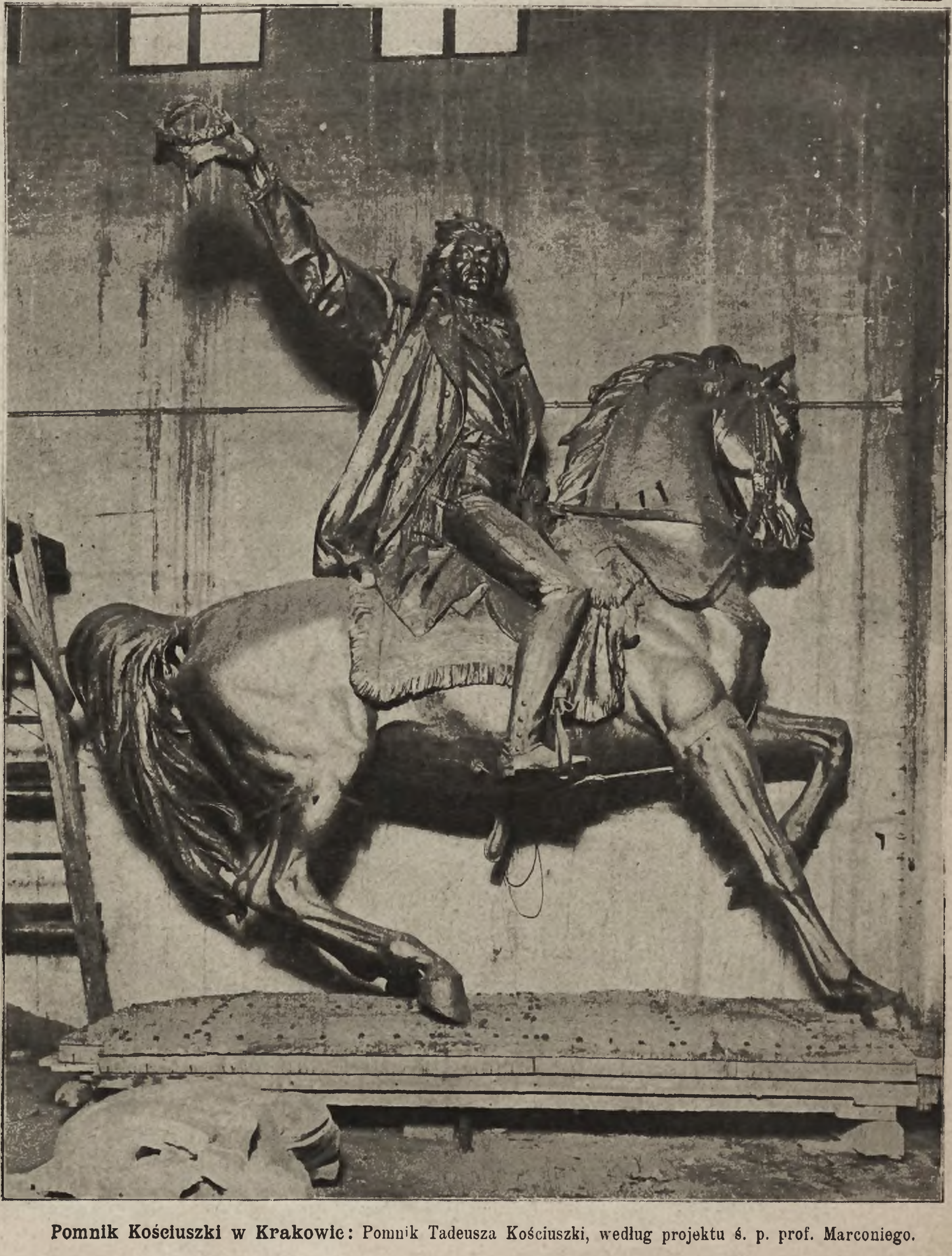
Jan Majewski, właściciel biura handlowego dla dostawy towarów kolonialnych, zawarł przed miesiącem z niejakim Markiem Szlosserem z Jaworzna spółkę handlową. Gdy z początkiem grudnia przyszło do obrachunku i podziału zysków za ubiegły miesiąc, okazało się, że na obu spólników przypada zysku 120 koron. P. Majewski nie wypłacił jednak Szlosserowi przypadającej nań połowy zysków, gdyż Szlosser był mu winien za mieszkanie wraz z wiktem 110 koron. By mieć ewentualnie pokrycie za mieszkanie i wikt, zatrzymał p. Majewski rzeczy Szlossera i nie wydał ich tragarzom. To doprowadziło Szlossera do myśli zamordowania swego wspólnika. Jak tak błahy powód mógł Szlosserowi wystarczyć do targnięcia się na życie ludzkie, trudno sobie poprostu czem innem wytłómaczyć, jak nienormalnością Szlossera, który, jak potwierdza śledztwo policyjne, już nie poraz pierwszy załatwia obrachunki handlowe z rewolwerem w ręku.

W krytycznym dniu Szlosser, powziąwszy zamiar zamordowania swego wspólnika, zaczaił się nań i do wieczora krążył przed bramą kamienicy, w której mieszka p. Majewski i gdzie mieściło się także ich wspólne biuro handlowe. Gdy koło godz. 7 wieczorem p. Majewski wyszedł na ulicę, rozległo się kilka strzałów rewolwerowych. Zraniony Majewski schronił się do sklepiku p. Urbańskiego przy ul. Straszewskiego, a za zbrodniarzem puściła się w pogoń publiczność; z rewolwerem w ręku, ścigany przez przechodniów, wpadł Szlosser do sieni aresztów „pod telegrafem“, gdzie go aresztowano i rozbrojono.

Przybyłe na miejsce wypadku pogotowie ratunkowe opatrzyło rannego Majewskiego i odwiozło go do szpitala św. Łazarza, a policya po przeprowadzeniu śledztwa, odstawiła zbrodniarza do więzienia sądu karnego.

Pomnik Kościuszki w Krakowie.

W przededniu setnej rocznicy Konstytucyi 3 Maja powstała myśl wzniesienia spiżowego pomnika na Rynku krakowskim nieśmiertelnej pamięci Naczelnikowi Tadeuszowi Kościuszce. Dzięki ofiarności rady miasta Krakowa, oraz osób prywatnych, udało się komitetowi budowy pomnika, wybranemu z łona tow. Tad. Kościuszki, zebrać fundusz, z którym można było przystąpić do urzeczywistnienia projektu. W r. 1904 ukończyła odlew fabryka Dedżeńskiego i Spółki w Podgórzu podług kompozycyi ś. p. Leonarda Marconiego, prof. politechniki lwowskiej. Kilkakrotnie komisye, w składzie których



Pomnik Kościuszki w Krakowie: Pomnik Tadeusza Kościuszki, według projektu ś. p. prof. Marconiego.

widnieją takie nazwiska, jak Juliusz Kossak, Karol Knaus, prof. Teodor Talowski, prof. Edward Lepszy, dr. Włodzimierz Łoziński, Zygmunt Rozwadowski, Wojciech Kossak, oddały najwyższe pochwały tak kompozycyi jak i wykonaniu, a sąd ich streszcza się w zdaniu, że będzie to nietylko najpiękniejszy pomnik konny w Polsce, ale jeden z najpiękniejszych pomników konnych w Europie. Kierownikiem artystycznym budowy był bardzo czynny członek komitetu inżynier Jan Świerzyński.



Krwawa zemsta: Jan Majewski, właściciel biura handlowego przy ul. Podzamcze 3.

Najważniejsza część dzieła jest ukończona, zdawałoby się więc, że nic nie stanie na przeszkodzie, aby dokonać reszty w jak najkrótszym czasie. Rada miasta Krakowa wyznaczyła już plac pod pomnik w Rynku na linii ulicy Szewskiej i pomnika Mickiewicza, ale wtedy to rozpoczęła się owa znana zacięta polemika wszystkich towarzystw „artystycznych“ krakowskich i osób „fachowych“ w sprawie „odpowiedniejszego“ miejsca pod ten pomnik. A wiadomo, że gdzie się te stowarzyszenia wmieszają, tam zawsze powstaje nieporozumienie i sprawa, choćby najpiękniejsza, albo się rozbija, albo co najmniej opaźnia.

Komitet budowy pomnika, wychodząc z założenia, że myślą przewodnią inicyatorów było wzniesienie pomnika Kościuszki na Rynku, że w tym celu zbierano fundusze i wreszcie, co najważniejsze, że w tym duchu tworzył dzieło ś. p. prof. Marconi, nie chce i nie może zgodzić się na inne miejsce, jak tylko na Rynek główny.

Długi spór ten zniechęcił ludzi czynnych dawniej przy wykonaniu wzniosłej myśli i sprawa niedaleka od zupełnego załatwienia utknęła. W ostatnim dopiero roku komitet postanowił podjąć napowrót energiczne kroki, a pierwszem jego staraniem jest zainteresować szeroko społeczeństwo polskie sprawą budowy pomnika. W tym celu powołano do komitetu budowy wybitnych włościan ziemi krakowskiej, którzy gorąco oświadczyli się za myślą komitetu i przyrzekli swe poparcie

Miejmy więc nadzieję, że zdrowa myśl zwycięży trudności i opór zapleśniałych teoryków i że w najbliższym czasie stanie w Rynku krakowskim wspaniały pomnik Kościuszki.

Nowy tor łyżwiarski we Lwowie.

Lwowskie towarzystwo łyżwiarskie, istniejące już od wielu lat i mające jaknajpiękniejsze tradycye w zakresie sportu łyżwiarskiego, przeniosło się w tym roku na nową siedzibę, urządzoną z wielkim komfortem i odpowiadającą najbardziej wybrednym wymaganiom.



Profesor awiatyki: Prof. inż. Knoller.

Nowy tor łyżwiarski znajduje się przy ul. Pełczyńskiej, na gruntach uzyskanych przez zasypanie znacznej części stawu Pełczyńskiego. Grunta te otoczono parkanem i wyrównano a następnie wzniesiono na odgraniczonym terenie szereg potrzebnych ubikacyi jak szatnie, bufety, loże dla widzów, kancelarye i t. d.

Cały budynek, projektowany przez architekta Richtmana, utrzymany jest w stylu zakopiańskim. W części środkowej jest on piętrowy, a mieści w parterze szatnie dla panów i pań, oraz bufet, na piętrze zaś niszę dla muzyki oraz dwie loże dla widzów.

Budynek ten został w ubiegłą niedzielę poświęcony uroczyście przez ks. arcybiskupa Bilczewskiego, w obecności wydziału towarzystwa i licznego grona członków oraz gości.

Po przemówieniu ks. arcybiskupa zabierali głos: prezes tow. Łaszowski, prezydent miasta Ciuchciński, prezes Sokoła dr. Czarnik i prezes polskiego Związku sportowego dr. Piasecki.

Wszyscy uczestnicy uroczystości poświęcenia nowej siedziby tow. łyżwiarskiego wyrażali zadowolenie z powodu wspaniałego i wygodnego urządzenia toru, co niewątpliwie przyczyni się do jeszcze większego ożywienia tak pożytecznego i hygienicznego sportu, jak łyżwiarstwo.

Sport islandzki.

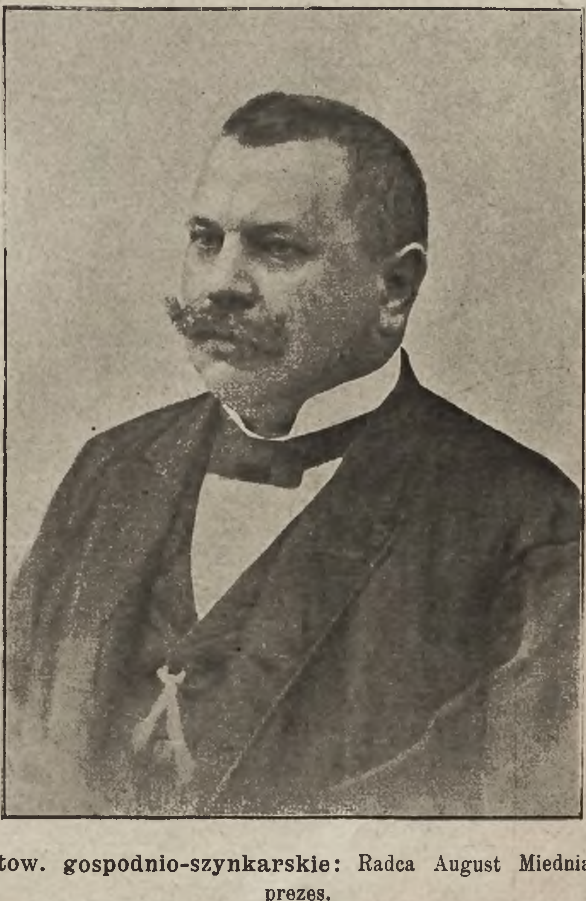
Wśród pierwszorzędnych sportsmanów, którzy w ubiegłym roku stanęli na Stadionie londyńskim, jako uczestnicy gier olimpijskich, znalazła się również garstka islandzkich zapaśników pod przewodnictwem młodego sportowca, kupca z zawodu, Jana Polssona.

Była to pierwsza sposobność poznania za obrębem granic starodawnej wyspy baśni, islandzkiego sposobu walki. A sport ten, zwany „Glima“, datuje się od XII. stulecia i jest w Islandyi szeroko rozpowszechniony, przyczem jednak bacznie strzeżono, by nikt z obcokrajowców z nim się nie zapoznał.

Na stadionie Polsson i jego towarzysze wywar-



Nowy tor łyżwiarski we Lwowie: Nowa siedziba tow. łyżwiarskiego przy ul. Pełczyńskiej.



Stow. gospodnio-szynkarskie: Radca August Miedniak, prezes.

li nadzwyczajne wrażenie, mimo że popisy „Glima“ były demonstrowane po za konkursem. Zainteresowanie wzrastało, a wszystkie dzienniki i czasopisma angielskie poświęcały mu wyczerpujące artykuły, interesując się odkryciem tego starodawnego sportu, który niema żadnego podobieństwa ze znanymi rodzajami walk.



Stowarzyszenie gospodnio-szynkarskie: Franciszek Sauer, wiceprezes.

Popisy Polssona i jego towarzyszy są następujące: Demonstracya i walka; samoobrona przeciwko bokserom, zapaśnikom, przeciwko człowiekowi uzbrojonemu w sztylet, wreszcie przeciwko napadowi trzech ludzi.

Z tych czteru zapaśników islandzkich, trzej tego lata po raz pierwszy opuścili granice rodzinnej wyspy, który to szczegół daje pewną rękojmię, że „Glima“ zachowała całą cechę swej oryginalności. Zapaśnicy ci produkują się obecnie w cyrku warszawskim.

Stowarzyszenia gospodnio-szynkarskie.

Upadek stanu rękodzielniczego i drobnego przemysłu, zagrożonego konkurencyą przemysłu fabrycznego i kapitalizmu, skłonił parlament austryacki do wprowadzenia z powrotem w życie dawnych cechów, pod postacią przymusowych stowarzyszeń przemysłowych. Zorganizowani rękodzielnicy i drobni przemysłowcy łatwiej mogą stawić opór przewadze konkurencyi. Aby jednak takie stowarzyszenie przemysłowe mogło osiągnąć wszystkie korzyści, jakie mu przyznaje ustawa, musi mieć na swem czele ludzi i inteligentnych i energicznych i chcących pracować dla dobra wszystkich stowarzyszonych.

W tem szczęśliwem położeniu jest w Krakowie przedewszystkiem stowarzyszenie gospodnio-szynkarskie, mające wśród swych członków wszystkich właścicieli hotelów, restauratorów, szynkarzy, dalej właścicieli kawiarń i cukierń oraz handlów śniadankowych. Jak widzimy więc, w skład organizacyi wchodzą bardzo różnorodne i nieraz sprzeczne mające interesy żywioły. Umieć wszystkich zadowolić, to zadanie niełatwe.

Tem większa też zasługa obecnego prezesa stowarzyszenia, radcy Augusta Miedniaka, iż w ciągu dziesięcioletnich swych rządów zyskał ogólne zaufanie i uznanie członków, a to tylko dlatego, iż miał zawsze na oku ich dobro i ich interes. W uznaniu też zasług radcy Miedniaka, po ponownym wyborze jego na prezesa stowarzyszenia, urządzili mu członkowie gorącą i serdeczną owacyę.

Dzielnie wspiera jego usiłowania wiceprezes stowarzyszenia, Franciszek Sauer, właściciel znanej kawiarni. Godność wiceprezesa piastuje od lat 9 i spełnia swe obowiązki bardzo sumiennie. Z jego to inicyatywy powstała w Krakowie przy Akademii handlowej szkoła kelnerska i jego staraniem wydało tow. bratniej pomocy kelnerów pierwszą polską fachową książkę p. t. „Nauka usługiwania“, książkę bardzo pożyteczną.



Ofiara aeronautyki: M. Fernandez oraz jego aeroplan po katastrofie w Nicei.

Stowarzyszenie gospodnio-szynkarskie rozwija się dzięki swym dzielnym przewodnikom coraz piękniej, a stwierdziło to odbyte w ubiegłym tygodniu walne zgromadzenie.

Spodziewać się należy, że obecne prezydyum, które już od szeregu lat stoi na czele stowarzyszenia, nie ustanie w pracy, lecz nadal będzie dążyć do podniesienia zarówno samego przemysłu, jak i dobrobytu członków. Dotychczasowa działalność tego prezydyum i nazwiska jego członków są najlepszą w tym kierunku rękojmią.



„Quo vadis“ jako opera: Scena z opery na deskach paryskiego teatru lirycznego, przedstawiająca śmierć Greka Chilona.

A. K. Green.

Który z nich?

15 (Ciąg dalszy).

Było to żądanie, którego Rollin nie mógł przyjąć, odpowiedział też w tym sensie, chociaż tonem nie zbyt stanowczym.

— Polecono mi — rzekł — odprowadzić pana do sędziego śledczego, który pana uwolni lub zatrzyma według swego uznania. Zechce więc iść pan ze mną. Co zaś do pani Hardy, może pan polegać na panu Maujean. Jestem przeświadczony, że wypełni dokładnie pańskie zlecenia.

Lionel spojrzał na niego błagalnie, Rollin jednak nie żartował przy urzędowaniu. Wobec tej stanowczości, nieszczęśliwy małżonek zdawał się decydować na nowe wyznanie. Rzekł więc śmiało:

— Pan zapewne stwierdził, że ja przyniosłem do pałacu w przeddzień śmierci ojca flaszeczkę z kwasem pruskim. Czy chce pan, bym powiedział, skąd ją miałem? Wziąłem ją od kobiety, która tu leży przed nami. Miała ją zawieszoną na szyi w ów wieczór, gdy po miesiącach daremnych poszukiwań znalazłem ją wreszcie zainstalowaną u matki Lepic. Spała, gdym zobaczył tę flaszeczkę. Sen jej był tak głęboki, iż nie mogłem jej obudzić. Przerażony posiadaniem przez nią tej trucizny, zabrałem ją, a na to miejsce położyłem zwitek banknotów. Pieniądze te zostały jej zapewne skradzione, gdyż zdaje się, iż wcale z nich nie skorzystała. Flaszeczkę uniosłem z sobą, gdy mnie przestrzeżono o przybyciu policyi.

Tłómaczenie to było tak naturalne, ton, w jakim je uczynił, był tak szczery, iż nie mogliśmy się powstrzymać od zamienienia z sobą znaczącego spojrzenia. Spostrzegłem, że Rollin zaczyna wierzyć w niewinność tego człowieka.

— Więcej nic już nie mam do powiedzenia — mówił dalej Lionel. — Nie wiem, jaki użytek zrobiono z tej trucizny, nie mogę wskazać tego, kto ją wziął z mego stołu, na którym ją postawiłem, gdym wyjmował rzeczy z kieszeni. Potem nie widziałem jej już wcale.

— Możnaby się zgodzić na pańskie wyjaśnienie — odrzekł stary agent — gdyby je pan dał odrazu w dzień śmierci pana Hardy'ego, obecnie jednak zwłoka ta może się wydać podejrzaną.

— Słusznie, była lakoniczna odpowiedź tego istotnie niezwykłego człowieka. Starczy jednak jedna chwila zastanowienia, by panowie przekonali się, że oznajmiając o zniknięciu z mego stołu tej flaszeczki z trucizną, jednocześnie oskarżałbym swych braci. Myśl ta nakazała mi wówczas milczeć; jeżeli mówię o tem teraz, to dlatego, iż jestem pod władzą silniejszego uczucia, niż duma rodowa i przywiązanie do braci.

Deszcz zmniejszył się trochę i przestał bić w szyby tak silnie. Podczas gdy Lionel Hardy i agent rozmawiali o czemś po cichu, otworzyłem okno i popatrzyłem na podwórze. Nawałnica cichła. Wiatr pędził po niebie wielkie ciemne chmury, przez które przezierało zwolna światło księżyca. Gdy się obróciłem, Lionel czekał na mnie, by mi coś powiedzieć. Podał mi kawałek papieru, na którym napisał szybko kilka słów.

— Jest to adres osoby, która pomoże panu w oddaniu ostatnich usług mej żonie. Pragnę, by została pochowana w naszym rodzinnym grobie na Pere Lachaise. Narazie niech pan przeprowadzi zwłoki do willi w Asnieres. Proszę wierzyć w mą niewygasłą wdzięczność za życzliwość, jaką pan mi okazuje.

Poczem zwrócił się do Rollina, który rzekł:

— Pan Hardy pragnie pozostać kilka chwil w tym pokoju sam, bez świadków, wyjdźmy więc.

I wyszedł na korytarz, a ja za nim, zamykając za sobą drzwi. Bardzo ciekawy byłem, co myśli mój towarzysz o Lionelu, nie odezwał się on jednak ani słowem. Czekaliśmy w milczeniu, aż drzwi się znowu otworzyły i ukazał się w nich nieszczęśliwy mąż.

— Teraz jestem na pańskie rozkazy — rzekł, zwracając się do agenta. — Jedźmy prędko — dodał, słysząc roznoszące się po całym domu złorzeczenia, śmiechy i krzyki.

Rollin gwizdnął lekko, na co odpowiedziano mu z dołu w ten sam sposób. Wtedy starzec obrócił się ku mnie, dał mi kilka wskazówek, nadmieniając, iż pozostawia przy mnie dobrą straż i czyniąc znak Lionelowi, ruszył naprzód. Na zakręcie schodów młody człowiek zatrzymał się jeszcze raz, by rzucić ostatnie spojrzenie na drzwi, oddzielające go od tej, którą ukochał nadewszystko. Wkrótce obydwaj znikli w zmroku. Zostałem sam na progu. Na parterze rozległy się krzyki, którymi mieszkańcy odprowadzili agentów i ich więźnia. Do pokoju wróciłem z sercem cięższem jak milczenie, które zapanowało potem w tym domu.

W pozycyi zwłok nastąpiła mała zmiana. Z głowy była zsunięta kołdra, która poprzednio pokrywała całą postać. Twarz zmarłej była odkryta. Gdzieniegdzie pukle włosów ocieniały czoło jej i policzki. Na kołdrze, podciągniętej pod ramiona, znaczyły się dwie sino-białe ręce. Na palcu lewej ręki świeciła złota obrączka, którą Lionel włożył jej przed odejściem.

VII.

Przez całą tę noc byłem bardzo zajęty. Znalazłem mimoto sposobność do wysłania do Genowefy bileciku, w którym prosiłem ją, by przed zobaczeniem się ze mną nie czytała żadnych dzienników, a nawet jeżeli to możliwe, by zamknęła się w swym pokoju i z nikim nie rozmawiała. By ją uspokoić, dodałem, że nowiny, jakie przyniosę, obficie wynagrodzą ten mały wysiłek cierpliwości, a ani jednej chwili nie będę zwlekał ze zjawieniem się u niej.

Mimo wszelkich starań dopiero po dziesiątej zadzwoniłem do bramy jej domu. Genowefę zastałem podnieconą i pobladłą.

— Byłam panu posłuszna — rzekła, udając lekki uśmiech. — Co się stało? Dlaczego nie pozwolił mi pan czytać dzienników i rozmawiać ze znajomymi?

— Ponieważ pierwszy chciałem wyjawić pani tajemnicę życia Lionela. Czy pani znała kiedy jego żonę?

— Nie — odpowiedziała stłumionym głosem.

— To nie ona, jak wszyscy przypuszczali, została zabita przed pięciu laty w wypadku kolejowym. Ona...

— Ach! — zawołała, jakby w umyśle jej zjawiła się cała prawda.

Upadła na fotel, lecz prawie w tej samej chwili podniosła się z niego i z twarzą, opromienioną niezmierną radością, z wielką ulgą na duszy wołała:

— Niech Bogu będzie chwała! Niech Bogu będzie chwała! — i ze wzruszenia rozpłakała się.

Jako prawdziwa kobieta, gdy tylko upewniła się, że mimo pozorów kuzyn jej nie jest winien przestępstwa, o jakie go oskarżają, przestała odczuwać najmniejszy niepokój mimo grożącego mu jeszcze niebezpieczeństwa. Nawet opowiadanie me, w jaki sposób kwas pruski znalazł się w rękach Lionela i jak on przyniósł go do pałacu, nie zachwiało w najmniejszej mierze jej odzyskanem zaufaniem.

— Teraz, kiedy niezrozumiała tajemnica jego dziwnego zachowania się została wyjaśniona — oznajmiła mi — jestem gotowa do odrzucenia wszelkich oskarżeń, ciążących na nim. Jeżeli w przeszłości zarumienię się jeszcze, wymawiając jego imię, to tylko dlatego, iż z należytem oburzeniem nie odepchnęłam odrazu podejrzeń, jakiemi zatruto moją myśl o nim.

Zapytała mnie następnie, gdzie się znajduje ciało Anity i gdym jej to powiedział, wyraziła chęć czuwania u zwłok kuzynki, dopóki nie przeniosą jej do wiecznego schroniska. Wiedząc, że nic bardziej nie mogłoby być przyjemnego dla Lionela, przyrzekłem zaprowadzić ją do Asnieres. Teraz, widząc jej zadowolenie, zapytałem, czy dobrze wywiązałem się z swego zadania. Odpowiedzi jej nie zapiszę tutaj. Nie powiem, by tajona ma nadzieja znalazła dla siebie jaką zachętę, wychodząc jednak od niej, uczułem, iż serce me pozbyło się wielkiego ciężaru.

Ranka tego nie czytałem dzienników. Ich ochłość wydała mi się zbyt nudną wobec wzruszających wyznań, jakie uczynił Lionel. Dowiedziałem się tylko, że nie został on uwolniony po widzeniu się z sędzią śledczym. Przekonałem się z tego, że zmartwienia nieszczęśliwego Lionela nie zmierzały jeszcze do końca, jak tego spodziewałem się. Przeświadczony tem więcej byłem, że Rollin i Doucet podzielają mą wiarę w jego niewinność. Była to dla mnie niejaka pociecha, nie przeszkadzało mi to jednak pytać się z trwogą, jaką nową niespodziankę gotuje nam przyszłość. Każdemu się nieraz może zdarzyło, iż pragnie czegoś gorąco, co mu zdrowy rozsądek przedstawia za rzecz prawie niemożliwą. I w chwili, gdy się tego najmniej spodziewamy, nagle ta niemożliwość urzeczywistnia się w naszych oczach i to w sposób jak najnaturalniejszy.

Od chwili tego pamiętnego wieczoru, gdy losowi spodobało się wmieszać mnie do dramatu, który się wówczas rozegrał, ciągle pragnąłem, nie licząc nawet na to, znaleść okazyę do porozmawiania spokojnie i bez świadków ze starym Mateuszem. Ponadto chciałem, by ta sposobność wydała się zupełnie przypadkową, przypuszczając słusznie, że starzec, gdy poweźmie jakie podejrzenie, okryje się najgłębszem milczeniem. I to spotkanie, na które nie liczyłem wcale, los nastręczył mi dnia tego w następujący sposób.

Wchodząc do sklepu z tytoniem na przedmieściu św. Honoryusza, dostrzegłem na rogu ulicy starego służącego, jak kupuje u ulicznego przekupnia pomarańcze. Czemprędzej wyszedłem ze sklepu, nie zdążywszy nawet zapalić cygara, które wybrałem sobie. Zbliżając się do Mateusza, rzekłem mu dzień dobry i poklepałem po przyjacielsku po ramieniu. Obrócił się powoli, spojrzał na mnie wzrokiem na poły niepewnym, na poły wesołym, poczem spuścił na dół oczy.

— Dzień dobry — odrzekł.

— Robicie zapasy pomarańczy? — mówiłem dalej, udając, iż nie spostrzegam jego niezadowolenia z tego spotkania. — Nie wiele są one warte przed Bożem Narodzeniem... Ale powiedzcie mi też, co sądzicie o tej nowej niespodziance? Mówię o aresztowaniu pana Lionela. Nigdybym nie przypuszczał, by on był winowajcą, a jak wy myślicie?

Stary służący nie oburzył się, jak tego oczekiwałem. Potrząsł tylko w zamyśleniu głową. Potem, biorąc od przekupnia torbę z pomarańczami, dodał przebiegle:

— Nigdy nie wiadomo, jak się pokierują w życiu mali, których kołysało się na rękach!

Ukłonił się, kładąc kres naszej rozmowie i oddalił się w stronę pałacu. I to wszystko. W złości zapaliłem cygaro, zaciągając się niem głęboko. Irytowało mnie, że dałem się tak łatwo zbyć niczem, że nie zdobyłem nic pozytywnego. Taka piękna okazya! I nie potrafić z niej skorzystać!

Wróciłem do siebie w wściekłym humorze. Spokój, z jakim stary Mateusz, tak oddany rodzinie Hardych, przyjął wiadomość o aresztowaniu swego młodego pana, gniewał mnie tem więcej, iż czułem, jak budzą się we mnie wobec tego zachowania pewne wątpliwości, których, zdawało mi się, że pozbyłem się zupełnie.

Jakiś młody człowiek oczekiwał mnie w przedpokoju. Widocznie niecierpliwił się bardzo, gdyż zaledwie mnie ujrzał, skoczył do mnie i zawołał:

— To ja, proszę pana... to ja, Doucet.

Nie mógł przyjść do mnie w lepszej porze, jak obecna, zadowolenie też swe okazałem mu uprzejmem przyjęciem.

— Proszę do mego gabinetu, drogi panie Doucet — rzekłem żywo. — Ma pan coś nowego?... Puścili już Hardy'ego, a może...

— Nie! — odparł ku memu wielkiemu żalowi, siadając na fotelu, który mu podsunąłem. — Nie, niema nic nowego. Pan Hardy nie jest jeszcze wolny... lecz musi nim być i przytem jak najprędzej. Zauważyłem wczoraj wieczorem sympatyę, jaką on w panu wzbudza swojem nieszczęściem, a ponieważ i ja ją podzielam, przyszedłem tutaj, by prosić pana o chwilę rozmowy w tej sprawie, w nadziei, że może nam we dwóch uda się znaleść jakie rozwiązanie, któreby sprowadziło następnie jego uwolnienie. Co do mnie, to nikt mnie nie przekona o jego winie. Raczej możnaby wmówić we mnie, że to ja dopuściłem się tej zbrodni... Musi więc to być jeden z dwóch jego braci... Lecz który z nich?... Nie będę ani jadł, ani spał, dopóki tego nie stwierdzę.

— A pan Rollin?

— Słaby jest; męczy go reumatyzm, jakiego nabawił się zeszłej nocy. Pole działania jest więc wolne i chcę też z tego skorzystać. Pan Lionel Hardy musi być uwolniony na czas, by mógł być obecny na pogrzebie żony. Jeżeli nie uda mi się oczyścić go z tego podejrzenia, rzucam swoje zajęcie i będę tłukł kamienie na drodze.

— I mnie to bardzo przejmuje, drogi panie Doucet. Jestem gotów wszystko uczynić, by panu w tem pomódz. Lecz, proszę, niech pan weźmie cygaro. Mówią, że palenie pobudza czynności umysłowe, skorzystajmy więc z tego!

Młody agent rzucił na cygara łakome spojrzenie.

— Dziękuję — odrzekł. — Proszę, niech pan sam pali, mnie to nie będzie przeszkadzało, ja zaś, gdy pracuję, wolę się od tego powstrzymać. Niech też pan z łaski swej odsunie odemnie to pudełko, a gdybym przypadkiem wyciągnął rękę w jego stronę przed załatwieniem tej sprawy, niech pan mnie zaraz przywoła do porządku.

Uczyniłem, to pragnął, to znaczy odsunąłem od niego cygara, lecz przytem i sam się powstrzymałem od palenia. Mój umysł musi być również sprawny, jak i jego, bez pomocy nikotyny.

— Pan pierwszy — zaczął mój gość — wszedł do pokoju, w którym spełniono zbrodnię. Czy może mi pan opowiedzieć znowu i w sposób najszczegółowszy, co zaszło między panem, a panem Har-

dym? Pozwoli mi pan, że słuchając, przymknę oczy. Lepiej widzę sceny, jakie mnie opisują, gdy nic nie rozprasza mego wzroku. Ponadto, ponieważ rozmowa bardzo mi przeszkadza w skoncentrowaniu myśli, pan mi wybaczy, jeżeli ośmielę się podnieść do góry palec na znak, że proszę o chwilę ciszy dla skupienia się.

Odrzekłem mu, że na wszystko chętnie godzę się, byle tylko ułatwić mu zadanie, jakie przedsięwziął. Po załatwieniu tej przedwstępnej sprawy, oparł swą głowę na rękach, ja zaś przystąpiłem do swego opowiadania, które jednak nie wiele się różniło od tego, jakie na początku samym uczyniłem. Młody człowiek siedział bez najmniejszego ruchu, gdym mu mówił o przywołaniu mnie z ulicy przez małą Klarę i o wejściu do pałacu. Podniósł jednak do góry palec, gdym mu opisywał postawę pana Hardy'ego, jak stał oparty o biurko przed osunięciem się na podłogę.

— Czy nie dosłyszał pan żadnego szmeru w domu? — zapytał. — Żadnych podejrzanych kroków w westibulu lub w sąsiednich pokojach na parterze?

— Nie! Przypominam nawet sobie swe pierwsze wrażenie, zdawało mi się z początku, że starzec znajduje się sam w pałacu ze swą wnuczką. Wielkie też było moje zdziwienie, gdym spostrzegł, że w domu jest pełno służby i że wiele osób z rodziny znajduje się na wyższych piętrach.

— To nas sprowadza do pierwszego naszego punktu. Wychodzimy z założenia, iż pan Hardy znał tego, którego zbrodnicza ręka wlała mu truciznę, która przyprawiła go o śmierć. Pytam się jednak, czy, o ile tak jest w istocie, nie wyjawiłby on otwarcie imienia tego z synów, którego uważał za winowajcę? Czy trzymałby się w dalszym ciągu tego niejasnego określenia, jakiego zmuszony był użyć, gdy mówił pannie Saugey o pierwszej próbie otrucia?

— Bardzo możliwe, że nie, lecz...

— Nie przykłada pan większej wagi do mego zapytania?

— Nie i oto dlaczego. Mimo całych chęci, by jak najjaśniej okazała się niewinność tych trzech młodych ludzi, zbyt dobrze pamiętam, jak wielki nacisk kładł na to, by Genowefa otrzymała ten kawałek papieru. Z tego wnioskuję, iż słowa, jakie na nim napisał, musiały mieć dla niego donioślejsze znaczenie, niż proste powtórzenie pierwotnych przypuszczeń. Wobec śmierci, która już na niego czyhała, miał jedną tylko myśl, jedno pragnienie: zawiadomić Genowefę, iż nie mylił się w swych pierwszych podejrzeniach, iż rzeczywiście jeden z synów chciał go wówczas otruć i że wreszcie udało mu się wykonać swój niecny zamiar.

— Może to wszystko jest i słuszne, zarzut mój jednak nie stracił nic na wadze. Mówi pan, że nie poświęcałby swych ostatnich myśli, swych ostatnich słów na proste powtórzenie młodej pannie podejrzenia, które ciągle podtrzymywał. Lecz w gruncie rzeczy, cóż więcej zawierał ten ostatni list? Czy pan Hardy mógł nie wiedzieć, że nie udało mu się napisać imienia, któreby oskarżeniu jego nadało wartość realną? Władze jego umysłowe nie były do tego stopnia przyćmione, by wyobrażał sobie, że wyraził coś konkretnego przez te słowa... en z moich synów...

— Nie sądzę. A jednak kto wie? Chociaż wejrzenie jego było jeszcze wyraźne, nic nie dowodzi, że nie stracił on pamięci, jak stracił już z pewnością dar obserwacyi. Widać to choćby z tego, iż dał mi tylko kawałek papieru, zamiast całego, który zawierał wszystkie słowa ostatniego jego listu.

— Wiem o tem — potwierdził Doucet ponuro.

— Mimoto zmuszony jestem wyznać, iż wywarł na mnie wrażenie, jakby władał jeszcze wszystkimi swymi zmysłami. Jestem przekonany, że gdybyśmy mogli zgłębić tę sprawę, znaleźlibyśmy klucz do zrozumienia całej tajemnicy, albo w samej treści tych słów, albo w sposobie, jakiego użył, by doszły one do Genowefy. Czy nigdy nie przyszło panu na myśl, że jest w tem coś dziwnego?

— Przepraszam pana — zawołał żywo młody agent. — I nas zastanowiło to także, dlaczego szukał, że tak powiem, posłańca na ulicy, kiedy go miał w domu pod ręką.

— Ma pan na myśli małą Klarę?

— Tak.

— Klara jest dzieckiem. Mógł się obawiać, że zapomni lub się pomyli.

— Lecz poco wzywać nieznajomego? Dlaczego nie zawezwał służącego? Przytem, jeżeli wiedział, który z synów jest winowajcą, dlaczego nie posłał wnuczki po drugich?

— Lionel wyszedł, Jerzy był na poły pijany, a Alfred na drugiem piętrze. Niech pan zwróci uwagę i na to, iż czuł on, że ma tylko kilka chwil na dopełnienie tego najważniejszego w swem życiu aktu.

— To prawda. A jednak jego postępek ma w sobie coś nienaturalnego, coś, czego nie mogę zrozumieć. Nie uważam się jeszcze za zwyciężonego. Przystąpiliśmy dopiero do rozważania szczegółów, z których spodziewamy się wydobyć jakieś cenne wskazówki. Idźmy więc dalej.

Doucet oparł znowu głowę na rękach, ja zaś podjąłem swe opowiadanie od miejsca, na którem przerwałem.



Młody człowiek siedział bez najmniejszego ruchu.

— Zbliżając się do pana Hardy'ego, zauważyłem trzy rzeczy oprócz wyrazu bólu na jego twarzy i chwiejącej się postaci. Pierwsza była ta, iż roleta była podniesiona, druga, iż maszyna do pisania znajdowała się przed nim otwarta i trzecia, iż flaszeczka z klejem, przewrócona zapewne przez niego przed mojem przyjściem, leżała koło maszyny, a zawartość jej wylała się na arkusz białego papieru. Żąda pan, bym nie opuszczał żadnego szczegółu, widzi też pan, iż czynię wszystko, by zaspokoić pańskie życzenie.

Gość mój podniósł cokolwiek palec. Nie wiedząc, czy chce mi tylko podziękować, czy też daje znak, bym zatrzymał się, postanowiłem zamilczeć.

— Widziałem klej — szepnął.

Uważając to za wezwanie do dalszego opowiadania, przedstawiłem mu wszystko aż do chwili, gdym opuścił roletę.

— Czy popatrzył pan wówczas przez okno? — zapytał Doucet, podnosząc palec.

— Owszem.

— I zobaczył pan Rozentala w jego pokoju. Czy był zwrócony do okna, czy stał plecami?

— Spacerował po swym pokoju.

— Jeden już punkt stwierdzony. Wypływa z tego, iż w tej krytycznej chwili nie patrzył w stronę gabinetu pana Hardy'ego. Jeżeliby spostrzegł, że dzieje się tam coś niezwykłego, z ciekawości zatrzymałby się pewnie przy oknie.

— Zupełnie słusznie! Zauważył on tylko fakt wylewania zawartości kieliszka przez okno, nie przykładał jednak narazie do tego żadnego znaczenia.

Doucet znowu zamilkł, a ja opowiedziałem mu z wszelkiemi drobiazgami bytność swą na wyższych piętrach, słowa, usłyszane przez półotwarte drzwi z pokoju Alfreda i wreszcie pierwsze spotkanie z Genowefą. Nagle spostrzegłem, że młody agent wcale mnie nie słucha. Podniósł głowę, lecz oczy jego, chociaż były zwrócone w mą stronę, patrzyły w próżnię. Od jakiegoś wewnętrznego wzruszenia drżał całem ciałem. Przerwałem swe słowa; milczenie, jakie nagle zapanowało, przywróciło go do rzeczywistości. Zerwał się z fotelu i zawołał:

— Chodźmy! Chodźmy do pałacu Hardych, mam jedną myśl. Może nie wiele ona warta i możliwe, że to tylko me złudzenie, lecz chodźmy...

Nie dokończył zdania, dosyć już jednak powiedział, by zaostrzyć mą ciekawość. Prędko schwyciłem zarzutkę i kapelusz i wybiegliśmy na ulicę, gdzie dopiero przypomniałem sobie, iż nie zakręciłem elektryczności. Musiałem wracać, by to uczynić. Schodząc, spotkałem na schodach swego przyjaciela Dorlaix, który mi szepnął na ucho:

— Poznałem gościa, który oczekuje cię na ulicy. Jeżeli macie zamiar zebrać dowody przeciw Lionelowi Hardy'emu, to z przykrością muszę ci powiedzieć, że daremny będzie twój trud, bo kto ma takie serce jak on, nie umie dolewać trucizny ojcu do wina.

Część drogi odbyliśmy, nie zamieniając z sobą ani jednego słowa. Douceta przejmowała myśl, która wywiodła nas z domu, ja zaś rozważałem najrozmaitsze przypuszczenia, jakie poddała mi końcowa nasza rozmowa. Przed dojściem jednak do pałacu zdecydowałem się na jedno pytanie:

— Czy w czasie tego śledztwa, któremu pan oddał się tak gorąco, przyszło panu na myśl poinformować się, do którego z trzech synów pana Hardy'ego stary Mateusz był najwięcej przywiązany?

— Nie... nawet... Lecz do czego zmierza to pytanie?

— Gdyż jeżeli nie jest to Lionel...

— Co do tego może pan być zupełnie pewny.

— W takim razie niech pan zwróci swą uwagę na tego, kto jest najbardziej przez niego lubiany.

Towarzysz mój zatrzymał się i spojrzał na mnie z widocznem zdziwieniem.

— Ciekawy jestem — rzekł — jaką to panu myśl podsuwa.

Opowiedziałem mu o spotkaniu swem na rogu ulicy z Mateuszem i o niezwykłej obojętności, z jaką stary służący przyjął wiadomość o aresztowaniu Lionela. Po wysłuchaniu mnie Doucet ruszył naprzód i tak szybko, iż z trudem tylko mogłem nadążyć za nim.

— Jeżeli nie gonię błędnego ognika — odezwał się po chwili — jeżeli myśl moja rzeczywiście przyda się na co w wyświetleniu tej tajemnicy, sława ma zostanie ugruntowana.

Szybko minął podjazd pałacu i naciskał już guzik dzwonka elektrycznego, gdy ja dopiero wstępowałem na stopnie, wiodące do głównego wejścia. Stary Mateusz otworzył nam drzwi. Młody agent z najzupełniejszą swobodą przeszedł koło niego, nie odzywając się ani słowem. Widocznie przychodził on tutaj już nieraz. Nie tak było ze mną. Służący spojrzał na mnie z tak wyraźnem zapytaniem w oczach, iż nie mogłem tego zbyć milczeniem.

— Prosta formalność — szepnąłem, czyniąc niewyraźny gest, jakbym wskazywał na to, iż potrzebny jestem Doucetowi.

Przechodząc, dosłyszałem, iż Mateusz mruknął kilka jakichś niewyraźnych słów; zrozumiałem tylko: „ciągle się kręcą u nas"; potem otworzył nam drzwi do jadalnej sali. Razem z towarzyszem swym wszedłem do gabinetu pana Hardy'ego, gdzie Doucet się zamknął ze mną, odkręciwszy przedtem światło elektryczne.

Pokój ten pamiętałem dobrze, nie dlatego, bym w nim był już kilka razy, lecz ponieważ przyjrzałem mu się wówczas szczegółowo.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Król i socyalista: Król Manuel II. w towarzystwie prezydenta gabinetu francuskiego, A. Brianda.

Król i socyalista.

Wspominaliśmy już o podróży młodego króla portugalskiego, Manuela II., który odwiedził naprzód swego najbliższego sąsiada, króla hiszpańskiego Alfonsa XIII., a następnie spędził kilka dni w Anglii, jako gość Edwarda VII., w powrocie zaś zatrzymał się przez czas jakiś we Francyi, podejmowany gościnnie przez przedstawicieli Republiki.

Jak w Hiszpanii i Anglii, także we Francyi spędził Manuel II. przeważnie czas na polowaniach. Inne jednak miał tam otoczenie. W ojczystym kraju, w Hiszpanii i Anglii, zabawiał się w towarzystwie koronowanych głów i najwyższej arystokracyi, we Francyi zaś zetknął się z kołami demokratycznemi, a nawet socyalistycznemi, wiadomo bowiem, że obecny prezydent gabinetu Arystydes Briand, jest z przekonań socyalistą. Illustracya nasza przedstawia właśnie króla Manuela II. w chwili, gdy ogień do papierosa podaje mu „socyalista", premier Briand.

Esperantyści lwowscy.

(Do illustracyi na str. 3).

W bieżącym tygodniu ukończył dr. Łazarz Ludwik Zamenhof, Warszawianin, głośny w całym świecie twórca języka międzynarodowego „Esperanto", 50 lat życia. Urodziny tego męża uczcili esperantyści we wszystkich krajach w bardzo uroczysty sposób, starając się nad[...] o spopularyzowanie idei „Esperanta" [...]az historyi życia jego twórcy.

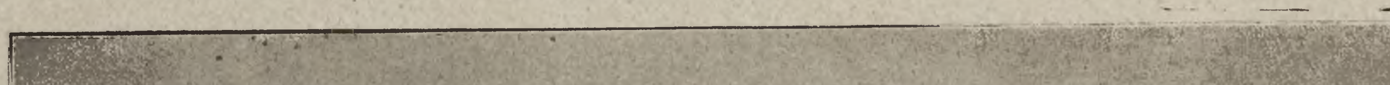
Dr. Zamenhof pochodzi z Białegostoku na Litwie i tam rozpoczął nauki, poczem przeniósł się do Warszawy, gdzie ukończył gimnazyum. Następnie studyował na uniwersytecie warszawskim i moskiewskim medycynę i 1884 r. uzyskał dyplom lekarski. Już jako uczeń gimnazyum przejął się Zamenhof głęboko ideą stworzenia języka, któryby ułatwił zbliżenie i zbratanie się wszystkich narodów. Po wielu latach studyów i żmudnej pracy ogłosił broszurę, zawierającą podstawy nowego, sztucznego języka, zwanego „Esperanto". Zasady te przyjęły się dość szybko i w rozmaitych krajach powstały kluby esperanckie, zajmujące się szerzeniem znajomości tego języka.



Potworny mord w Warszawie: Ś. p. Franciszka Waszkiewiczowa.

Także i w Polsce powstało kilka takich klubów, a jednym z najżywotniejszych jest klub lwowski na którego czele stoi obecnie lekarz dr. Skałk[...] Lwowscy esperantyści uczcili również roczni[...] dzin dra Zamenhofa, a zdjęcie, zamieszczone w [...]niejszym numerze, przedstawia grono uczestników uroczystości, złożone z wydziału i członków tow. esperanckiego.

Również krakowscy esperantyści, związani w osobny klub, zamierzają uczcić twórcę języka międzynarodowego nie tylko obchodem, ale rozwinięciem energicznej akcyi celem spopularyzowania języka „Esperanto" i zaznajomienia z nim najszerszych warstw.



Wybuchy wulkanu na Teneryfie: [...]

Kronika tygodniowa.

(Koniec świata i moje utrapienia. — Dokąd się zgłaszać po bliższe wskazówki. — Teatr ludowy. — Położenie parlamentarne we Wiedniu i nadzieje na przyszłość. — Proces koalicyi serbsko-chorwackiej i jego następstwa. — Hofrichter. — Traktat z Rumunią. — Obstrukcya ukraińska. — Związek państw bałkańskich. — Król Ferdynand i książę Jerzy).

Narobiłem sobie swoją drogą niepotrzebnego kłopotu, wspominając w poprzedniej kronice o spodziewanym końcu świata i wpływie, jaki on mieć będzie na bieg naszych losów. Największe i najgłośniejsze larum podnieśli moi wierzyciele, którzy i tak nie spodziewali się nigdy swych kapitałów otrzymać z powrotem, korzystając jednak z przypomnienia się ich pamięci, runęli na mnie ławą, niczem krakowscy archeologowie i konserwatorowie na Stykę. Ale tak samo jak on nie uląkł się i nie pierzchnął przed nacierającymi napastnikami. owszem, powiedział nawet: „A taki ja będę w Rondlu!“, i ja zamknąłem się w mieszkaniu i nie puszczam żadnego z niewiernych, chyba że pokaże się w towarzystwie c. k. woźnego, któremu, jako urzędowej osobie, należy się specyalna cześć i szacunek.

To jest jednak jeszcze niczem w porównaniu z utrapieniem, jakie mi sprawia wzmożona korespondencya z tego samego właśnie powodu. Z całej Galicyi i Bukowiny, Węgier, Śląska, Królestwa Polskiego, Rosyi, ba nawet Ameryki nadchodzą do mnie listy, przeważnie od płci pięknej z zapytaniem, czy koniec świata rzeczywiście będzie miał miejsce, czy też może będzie na później odłożony. Poczta odsyła mi codziennie transport listów w wielkim wozie meblowym, a aby odpowiedzieć na wszystkie, musiałem przyjąć sześciu sekretarzy, którzy przez dwanaście godzin dziennie zajęci są załatwianiem korespondencyi. Niestety, astronomiczne moje wiadomości nie są tak dokładne, bym mógł ściśle oznaczyć początek i koniec owego końca, ciekawych interpelantów odsyłam niniejszem do twórcy owej teoryi, pana Flammariona, którego bliższy adres jest mi nieznany, a który z pewnością udzieli każdemu potrzebnych wskazówek.

W ścisłym związku z końcem świata jest oświadczenie dyrektora Rygiera. iż pragnąłby sprzedać teatr ludowy, którego z powodu słabego zdrowia dalej prowadzić nie może. Tymczasem rzecz się ma zupełnie inaczej; pan Rygier zrażony jest obojętnością, z jaką do jego przedsiębiorstwa odnosi się społeczeństwo krakowskie. przeczuwające widać ów koniec i nie chcące w ostatnich chwilach zajmować się niczem poważniejszem. Bo rzeczywiście płakać się chce. gdy się widzi przybytek sztuki w byłej ujeżdżalni. A kto temu winien? Uderzmy się w piersi i powiedzmy, że nikt inny, tylko my sami! Gdyby Rada miejska chciała, znalazłby się przecież fundusz na zbudowanie gmachu dla teatru ludowego, który w Krakowie ma absolutnie racyę bytu i z pewnością miejskiemu przybytkowi sztuki nietylko nie zrobi konkurencyi, ale owszem stanowi bodziec do szlachetnej emulacyi. Miasto subwencyonuje wprawdzie teatr ludowy aż tysiącem koron, ściąga jednak kilkakroć tyle za oświetlenie, straż ogniową itd., w zamian prawie nic nie dając.

Dyrektor Rygier poświęcił swe najlepsze chęci i siły naszemu społeczeństwu, widząc jednak apatyę, z jaką się na każdym kroku spotyka, zraził się i postanowił się usunąć. Gdybym był pewny, że koniec świata będzie rzeczywiście ośmnastego maja, nie miałbym nic przeciw temu, jeśli jednak wiadomość o nim jest tylko, że się tak wyrażę, kaczką astronomiczną, byłbym zdania, a sądzę, że większość Krakowian je podziela, że ile sił i możności należy dyrektorowi Rygierowi iść na rękę w jego przedsięwzięciu. Projekt, podany przez jedno z pism codziennych, by na uczczenie rocznicy Grunwaldu wybudowano w Krakowie budynek dla teatru ludowego, uważam za zupełnie trafny. Jeśli żądamy, by społeczeństwo dążyło ciągle do oświaty, a wiadomo przecież jak potężnym czynnikiem cywilizacyjnym jest teatr, dajmy mu też i sposobność do tego. Teatr miejski nie wystarcza absolutnie dla Krakowa, teatr ludowy może i powinien uzupełnić te braki.

Również końcem świata tłómaczyć sobie możemy obecne położenie parlamentarne w Wiedniu. Ba[illegible]nerth radby bodaj do końca świata utrzy[illegible] rządów, posłowie myślą to samo, [illegible]wać. by przynajmniej [illegible] narzeka zdrowszy, tem serdeczniej i głośniej wzdycha do dyety. Zdawało się początkowo, że parlament rozleci się zaraz po zebraniu się na sesyę, pokazało się jednak, że posłowie nie są znów tak prędcy i boją się rozwiązania parlamentu, kto bowiem może im zaręczyć, że i potem się tam dostaną? Toczą się więc rokowania, układy, pertraktacye, Koło polskie pośredniczy, a wszyscy łamią sobie głowy, czy gabinet utrzyma się przy władzy, czy upadnie, w tym drugim wypadku, jaki powołają do życia, urzędniczy, czy parlamentarny.

Z notatek dziennikarskich należałoby wnosić, że nowy gabinet będzie urzędniczy, nie będzie w nim więc ministrów-rodaków, co dla Galicyi może mieć dość fatalne skutki, gdyż w każdym razie nasz minister czuwa w Wiedniu, by nas po macoszemu nie traktowano. Spełnią się w ten sposób moje przepowiednie, czy proroctwa polityczne, że na pośrednictwie między Czechami i Niemcami wyjdziemy, jak Zabłocki na mydle.

Zajmowanie się sytuacyą wewnętrzną zeszło w ostatnim tygodniu na drugi plan, wobec procesu koalicyi serbsko-chorwackiej przeciw doktorowi Friedjungowi i wiedeńskiemu dziennikowi *Reichspost*. Jest to proces polityczny, echo zagrzebskiego i aneksyi Bośni i Hercegowiny, a jak się zdaje, przybiera formę takiego samego tasiemca, jak tamten, który się ciągnął przez kilka miesięcy. Posłowie serbsko-chorwaccy uczuli się obrażonymi rewelacyami wiedeńskiego dziennika, zarzucającemi im agitacyę wielkoserbską na niekorzyść Austryi, branie łapówek itd. i postanowili wyprać publicznie swój honor w c. k. pralni chemicznej, jaką jest obecnie sąd. Jak dotąd, przemawiają dostarczone dowody przeciw skarżącym, a na korzyść oskarżonych, którzy produkują sądowi fotograficzne dowody winy rozpolitykowanych Wielko-Serbów. W tę sprawę miesza się jednak Serbia i oświadcza, że dowody te są fałszowane, a po ukończeniu procesu rząd tamtejszy wystąpi z notą do mocarstw, w której na podstawie dokumentów zaprotestuje przeciw spotwarzaniu rządu serbskiego przez Austryę. Istnieje również zamiar zmuszenia austryackiego posła w Belgradzie hr. Forgacha do opuszczenia Serbii, co równałoby się zerwaniu stosunków dyplomatycznych między oboma państwami i nadziei, że na uświetnienie końca świata gotowi jesteśmy mieć wojnę serbsko-austryacką, która nam już przed rokiem nie na żarty groziła. Jakikolwiek będzie wynik procesu, dziś już możemy stwierdzić z całą stanowczością, że niektórzy z panów posłów przedstawili się nam w nader brzydkiem oświetleniu i prawdopodobnie oni jedni będą kontenci, jeśli 18 maja będziemy mieć koniec świata, a może nawet radziby byli, gdyby go przyspieszono.

Także sprawa Hofrichtera przycichła nieco, gdyż władzom śledczym nie udaje się jakoś wyszukanie dowodów, któreby stanowczo przemawiały za winą Hofrichtera, a on sam, ani myśli się przyznać, że jest sprawcą owego zamachu, który w całym świecie wywołał taką sensacyę. Sympatya społeczeństwa zwraca się w jego stronę i coraz bardziej utrwala się przekonanie, że jest niewinny.

Te dwie sprawy stanowią obecnie przedmiot ogólnego zainteresowania tak prasy austryackiej, jak publiczności, przykładającej, przynajmniej jak dziś, większą wagę do tego, czy Friedjung i Hofrichter będą uwolnieni, czy też bar. Bienerth utrzyma się na fotelu, a wraz z nim i parlament. W ostatnich dniach sytuacya zaostrzyła się niepomiernie, dzięki wejściu na porządek dzienny sprawy traktatu handlowego z Rumunią, na co się parlament jakoś nie chce zgodzić, a co stanowi kwestyę żywotną, gdyż Korona żąda stanowczo uchwalenia, grożąc w przeciwnym razie rozwiązaniem Izby i rozpisaniem nowych wyborów, ponieważ w obecnej chwili zależy Austryi bardzo na utrzymaniu z Rumunią dobrych stosunków. Powoli wyrastają w parlamencie nowe obstrukcye, jak grzyby po deszczu, a jedną z najświeższych, jest ukraińska, która korzystając z ogólnego zamieszania, chciałaby ułowić dla siebie kilka tłustych rybek na wigilię. Ukraińcy stawiają narazie dwa żądania, mianowicie wymagają wybitnych korzyści w sprawie chowu bydła i to z pominięciem Wydziału krajowego, oraz ustępstw na polu wyższego szkolnictwa, dwu więc rzeczy dyametralnie się różniących.

Uwaga całej Europy skierowaną jest natomiast w stronę półwyspu bałkańskiego, gdzie występuje na pierwszy plan król Ferdynand bułgarski. wybijający się zwolna na wielkiego polityka. Jak powiadają, jest on rzecznikiem utworzenia Związku państw bałkańskich, do którego należałaby Bułgarya, Serbia i Czarnogóra. Turcy nie chcą się absolutnie zgodzić na taką kombinacyę, Austrya prawdopodobnie także sprzeciwiłaby się podobnemu sojuszowi, co zaś najważniejsze, sami Serb[illegible] wierzają zbytnio królowi Ferdynandowi, którego posądzają o sympatye austryackie. Jeśli wierzyć można wiadomościom, podanym przez niektóre dzienniki, książę Jerzy przypomniał się znowu Europie, wysyłając do Ferdynanda list, w którym mu oświadcza, że uważa go za szpiega austryackiego i że nie zrobił mu awantury jedynie dlatego, ponieważ na czas odwiedzin w Belgradzie zamknięto go w konaku, zastrzega się jednak, że znajdzie sposobną chwilę, by módz przekonać króla Ferdynanda o swych sympatyach względem niego.

Król jednak śmieje się z tego, z bałkańskich władców najlepiej bowiem gra rolę panującego, imponując swym koronowanym kolegom swym potężnym organem powonienia i stosunkami, jakie potrafił, dzięki właśnie dobremu węchowi, utrzymać z resztą Europy, która dla władcy Bułgarów ma zawsze otwarte serce i kieszeń. Król Piotr radby pójść w jego ślady, stracił jednak zupełnie polityczny kredyt, a trzeci w tym tryumwiracie, czarnogórski Nykita, nie może się pchać zanadto, dopóki nie zaawansuje na króla. Gdyby rzeczywiście udało się doprowadzić do skutku połączenie się owych trzech państewek bałkańskich, wyszłoby to dla nich na dobre, Austryi zaś i Turcyi, jako najbliższym interesowanym, gruntownie pomieszałoby to polityczne plany, nic też dziwnego, że wszelkimi sposobami starają się temu zapobiedz.

I północna część Europy przeżywa też obecnie ważne chwile, gdyż w Belgii, najbardziej romantycznie usposobiony ze wszystkich staruszków, król Leopold wybiera się powoli na zimę do cieplejszych okolic (czytaj: *ad patres!*). Choć niemoc powaliła go na łoże boleści, ani myśli wypuścić z swych rąk ster władzy i radby jeszcze przed śmiercią wysprzedać wszystkie swe ruchomości, by koronowanym potomkom o ile możności jak najmniej pozostawić. Baronowa Vaughan, morganatyczna małżonka jego królewskiej mości, nie ma nawet nadziei, by albo sama, albo ktoś z jej potomstwa zasiadł na tronie belgiejskim, gdyż wola narodu powołuje na to stanowisko księcia Alberta, bratanka królewskiego.

Inne państwa europejskie układają się powoli do snu zimowego, nawet młody Manuel portugalski powrócił już w domowe progi z podróży w celach matrymonialnych, nie mogłem się jednak dowiedzieć, ze skutkiem, czyli też bez niego. Sąsiad jego, Alfons, cierpi na polipa w nosie i nie może oddychać. Lekarze twierdzą, że jest to następstwem jego słabej konstytucyi, socyaliści utrzymują, że to kara za niekonstytucyjne skazanie Fererra.

Wybuchy wulkanu na Teneryfie.

Pasażerowie okrętów, przejeżdżających koło wysp Kanaryjskich, podziwiają niezwykłe i nieczęste zjawisko, jakiem jest wybuch wulkanu.

Śnieżysty „pic de Teide“ albo — jak go powszechnie nazywają — „pic de Teneriffe“ okryty jest ciemnemi chmurami, ponad które na wysokość 50 m. w górę wybucha snop dymu. Zjawisko niepospolite i jedyne w swoim rodzaju! Tysiące turystów, głównie francuskich, zdąża na miejsce wybuchu, a odważniejsi wspinają się po śnieżystych stokach wulkanicznego olbrzyma, którego wierzch dosięga 3.000 m. Jest to fenomen, twierdzą korespondenci pism zagranicznych, godny widzenia, tembardziej, że zupełnie różny od innych wulkanów. Są nawet tacy, którzy imponujący widok wybuchów na Teneryfie przenoszą nad wybuchy Wezuwiusza.

Jak zbadano obecnie, główny krater z ostatniego wybuchu z r. 1798 jest zasypany, a poniżej jego utworzył się na zboczu południowem nowy otwór, którym na zewnątrz wydobywa się popiół i kamienie.

Pożyczka na cudzą realność.

Sąd przysięgłych we Lwowie zajmuje się obecnie po raz już drugi sensacyjnem oszustwem, dokonanem przez Wincentego Bielskiego, asystenta



Pożyczka na cudzą realność: Wincenty Bielski.

plantacyi miejskich, na szkodę dra Motylewskiego, profesora szkoły realnej i właściciela kamienicy przy ul. Głębokiej. Mianowicie Bielski, zaprzyjaźniony z domem pp. Motylewskich, otrzymał na czas naukowej podróży dra Motylewskiego za granicę, zarząd jego realności, z czego skorzystał w ten sposób, iż podszywszy się pod imię swego pełnomocodawcy, zaciągnął na hipotekę jego realności pożyczkę w wysokości 10.000 kor. i pieniądze te w krótkim czasie przegrał w loteryę liczbową. Nadto sprzeniewierzył gotówkę, poruczoną mu przez pp. Motylewskich, oraz biżuteryę, znajdujące się w ich mieszkaniu.

Mimo bardzo sprytnego zaaranżowania oszustwa, wyszło ono bardzo prędko na jaw i Bielski dostał się do więzienia. Próbował się ratować symulowaniem obłąkania, co mu się jednak nie udało, spowodował jednak przeciągnięcie sprawy i pierwszy proces po kilkudniowem trwaniu odroczono do bieżącego tygodnia.

Obecnie toczy się przeciw niemu druga rozprawa, a rejestr grzechów Bielskiego powiększono oskarżeniem o oszczerstwo, popełnione na osobie p. Wiktora Wlaszka. Odzyskawszy mianowicie „przytomność umysłu“, oskarżył Bielski fałszywie p. Wlaszka o wspólnictwo w tem oszustwie, śledztwo jednak wykazało niewinność tego ostatniego.

Wyroku, który ma zapaść w najbliższą sobotę, oczekują Lwowianie z dużem zaciekawieniem.

Proces koalicyi serbsko-chorwackiej.

Przed sądem przysięgłych w Wiedniu toczy się obecnie proces polityczny, będący niejako epilogiem aneksyi Bośni i Hercegowiny.

Na ławie oskarżonych zasiadł 51 letni historyk, dr. Henryk Friedjung i odpowiedzialny redaktor wiedeńskiego dziennika *Reichspost*, Henryk Ambros, obwinieni o obrazę czci, popełnioną drukiem na 50 posłach sejmu chorwackiego, którym zarzucili zdradę stanu, a co więcej zdradę stanu, opartą na motywach brzęczącej natury.

Koalicya serbsko chorwacka miała — zdaniem obu oskarżonych — pobierać pieniądze od rządu serbskiego, aby na wypadek wojny z Austryą wszcząć powstanie w Bośni i Hercegowinie i przeprowadzić utworzenie państwa wielko-serbskiego. Organizacyą, która miała przeprowadzić to zadanie, był „Slovenski Jug“ (słowiańskie południe), który do swej dyspozycyi miał około 2½ miliona koron od rządu serbskiego. Nici całego spisku posiadać miał w swych rękach serbski konsul w Budapeszcie.

W porozumieniu ze „spiskowcami“ mieli być także niektórzy członkowie węgierskiej partyi niezawisłości, by — jak twierdzi dr. Friedjung — za jednym zamachem stworzyć samodzielne Węgry, królestwo Chorwacyi i Dalmacyi, a Bośnię i Hercegowinę oddać Serbii.

Pierwsze dni sensacyjnego procesu przyniosły kompromitacyę jednego z oskarżycieli, posła Supilo, któremu dokumentami i zeznaniami świadków udowodniono, iż pobierał za swą „ideową“ działalność zasiłki pieniężne.

Wobec tego poseł Supilo wystąpił z koalicyi serbsko-chorwackiej, a nadto zmienił swego zastępcę prawnego, powierzając swój honor opiece osławionego obrońcy bohaterów ruskiej głodówki i awantur uniwersyteckich, dr. Walterowi Rhodemu.

Dra Friedjunga broni adwokat dr. Benedikt.



Proces koalicyi serbsko-chorwackiej: 1. oskarżony dr Henryk Friedjung; 2. jego obrońca adwokat dr. Benedikt.



Pożyczka na cudzą realność: Wiktor Wlaszek.

Wyniku tego sensacyjnego procesu oczekują wszyscy z niezwykłem zainteresowaniem.

Z oskarżycieli przeszło dwudziestu jawiło się osobiście na sali.

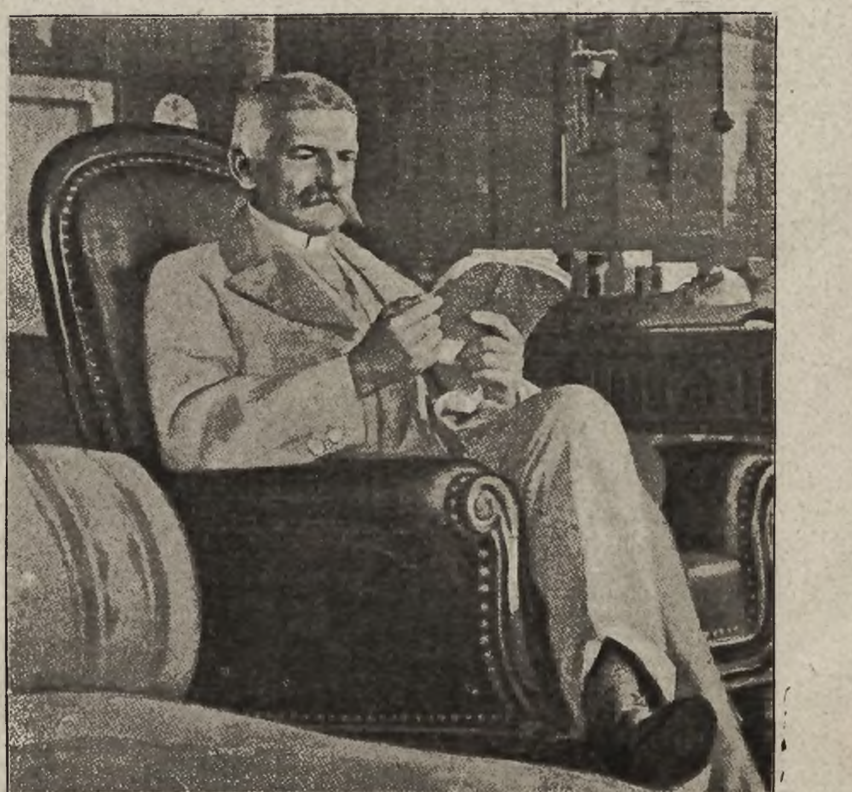
Nowy gabinet włoski.

Gabinet Giolittiego upadł z powodu planu reformy finansów, odrzuconego przez komisyę parlamentarną.

Gdy Giolitti w r. 1906 obejmował poraz trzeci kierownictwo gabinetu, nie przypuszczał prawdopodobnie, że następcą jego będzie jego poprzednik na krześle premierowskiem: Sidney Sonnino.

Nie ulega wątpliwości, że nowy gabinet z Sonninem na czele będzie musiał kontynuować politykę pojednawczą i tak pod względem polityki wewnętrznej jak i zewnętrznej postępować z całą rezerwą.

W Sonninie zyskują południowe prowincye Włoch gorliwego obrońcę i opiekuna, który zapowiedział już przy objęciu steru rządu, że będzie usilnie się starał o ekonomiczne podniesienie południowych Włoch. Łącznie z tem mają powstać dwa nowe ministerstwa: ministerstwo kolei i ministerstwo narodowej pracy.



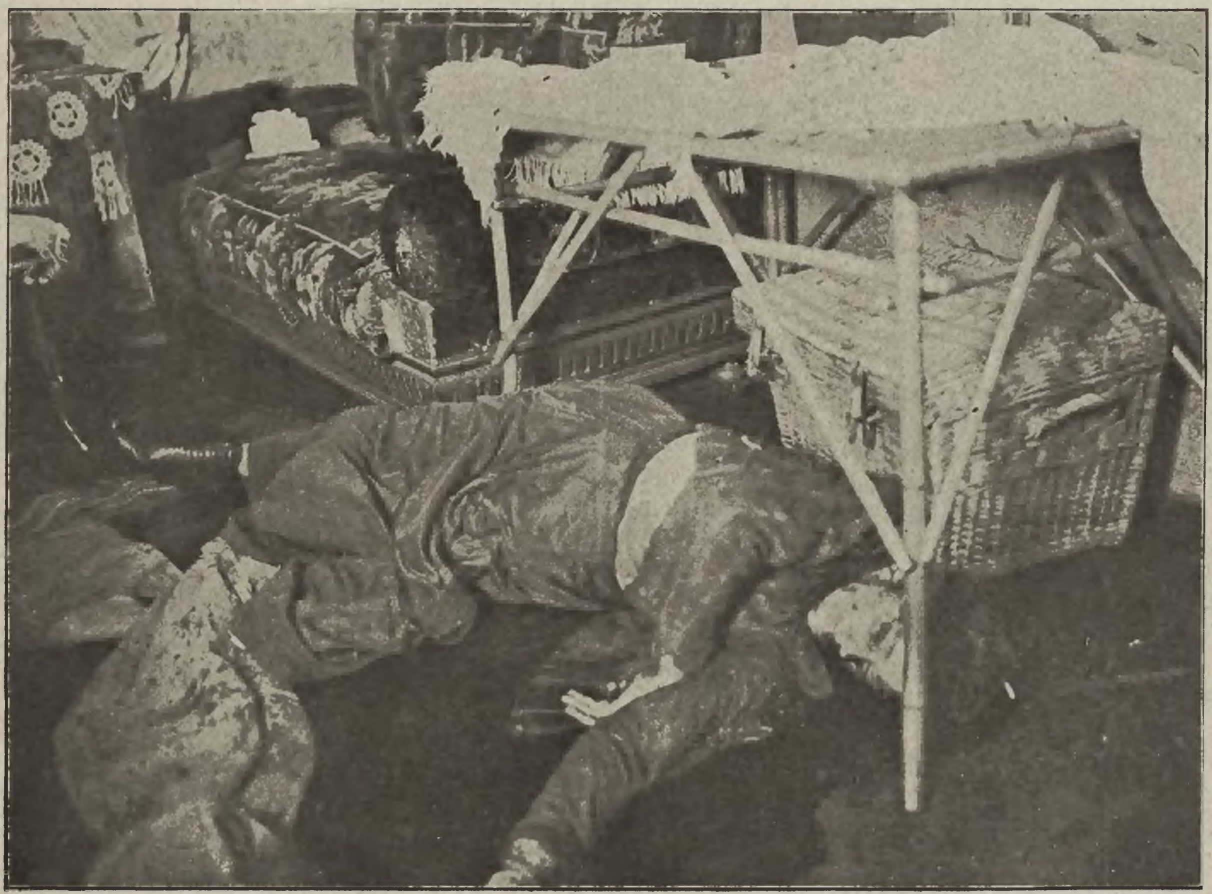
Nowy gabinet włoski: Nowomianowany prezydent gabinetu Sidney Sonnino.

Potworny mord w Warszawie.

W ubiegłym tygodniu zaalarmowano Warszawę wykryciem potwornej a tajemniczej zbrodni, której ofiarą padła wdowa po właścicielu fabryki torebek oraz drukarni, Franciszka Waszkiewiczowa, kobieta jeszcze młoda i przystojna a wcale zamożna. Znaleziono ją we własnem mieszkaniu bez życia, leżącą w kałuży krwi obok stołu, zamordowaną ostrym nożem, którym zadano jej straszliwe cięcie od prawego ucha do krtani.

Zaalarmowana policya warszawska rozpoczęła natychmiast szczegółowe dochodzenia, które stwierdziły tylko, iż mordu dokonano w celu rabunku, ś. p. Waszkiewiczowa bowiem podjęła w dniu krytycznym większą sumę pieniędzy w jednym z banków warszawskich, a pieniędzy tych przy niej nie znaleziono. Nie ulega też wątpliwości, iż mordercą była osoba nie tylko znające dobrze stosunki Waszkiewiczowej, ale żyjąca z nią na stopie poufałości towarzyskiej, z dochodzeń bowiem wynika, iż spędziła ona dłuższy czas w pokoju zamordowanej i w jej towarzystwie, paląc papierosy.

Podobno policya jest już na tropie mordercy.



Potworny mord w Warszawie: Zwłoki ś. p. Franciszki Waszkiewiczowej w jej mieszkaniu.

Jubileusz pracy drukarskiej.

(Do illustracyi na str. 2).

Jeden z najpopularniejszych mieszczan lwowskich, wybitny obywatel tamtejszy, Józef Neuman, święcił w ubiegłym tygodniu jubileusz 25-letniej pracy w zawodzie drukarskim.

Jubilat, syn wyższego urzędnika państwowego, rozpoczął pracę w zawodzie drukarskim od praktyki w pierwszorzędnej a największej lwowskiej drukarni Pillera. Pracowity i zdolny, zdobył wnet zaufanie szefa, został też w młodym wieku kierownikiem wielkiego zakładu, z czasem zaś współwłaścicielem, poślubiwszy jedną z córek ś. p. Pillera.

Idąc z postępem czasu, zakład drukarsko-litograficzny znacznie powiększył i rozszerzył, stawiając go w ten sposób na poziomie prawdziwie europejskim.

Poza pracą zawodową, bierze p. Neuman bardzo czynny udział w życiu publicznem Lwowa. Od szeregu lat zasiada w radzie miejskiej i przez pewien czas był wiceprezydentem miasta, powołany na tę godność ze względu na swe wybitne zasługi. Jest dalej członkiem wielu towarzystw i prezesem „Sokoła IV“.

Zamach na jenerała.

(Do illustracyi na str. 4).

Na komendanta Paryża, jenerała Veranda, wykonano zamach przez pomyłkę. Złoczyńca, nazwiskiem Robin Eudelsi, chciał zastrzelić ministra wojny Bruna, a strzelił do jenerała Veranda, w chwili gdy tenże wysiadał z powozu przed hotelem *Continental*, gdzie odbywał się bankiet Unii francuskich stowarzyszeń gimnastycznych.

Na odgłos strzałów wybiegła z hotelu służba a za nią uczestnicy bankietu. Minister wojny Brun, który przewodniczył bankietowi, był jednym z pierwszych, którzy przybyli Verandowi z pomocą. Ranionego w głowę i szyję jenerała przeniesiono do pobliskiej apteki, gdzie opatrzył go natychmiast przywołany lekarz. Rana na głowie okazała się powierzchowną, bardziej niebezpieczną jest rana na karku.

Przy pomocy publiczności został sprawca zamachu ujęty i oddany w ręce policyi.

Przyczyną zamachu miały być szykany władz wojskowych.

Kurs rolniczo-weterynaryjny w Zakopanem.

Kółko rolnicze w Zakopanem coraz żywiej zaznacza swą działalność, przynosząc ogromne usługi miejscowej ludności włościańskiej i wpływ swój rozciągając na znaczną odległość od miasta. Ostatnie dni dały nowy przykład wysiłku „kółka“ w kierunku zaznajamiania okolicznych włościan o najbardziej palących sprawach, urządzając przy pomocy głównego Zarządu Tow. kółek rolniczych, kurs rolniczo-hodowlany i weterynaryjny w Zakopanem, celem wyjaśnienia różnych kwestyi z dziedziny rolnictwa i weterynaryi szeregiem wykładów.

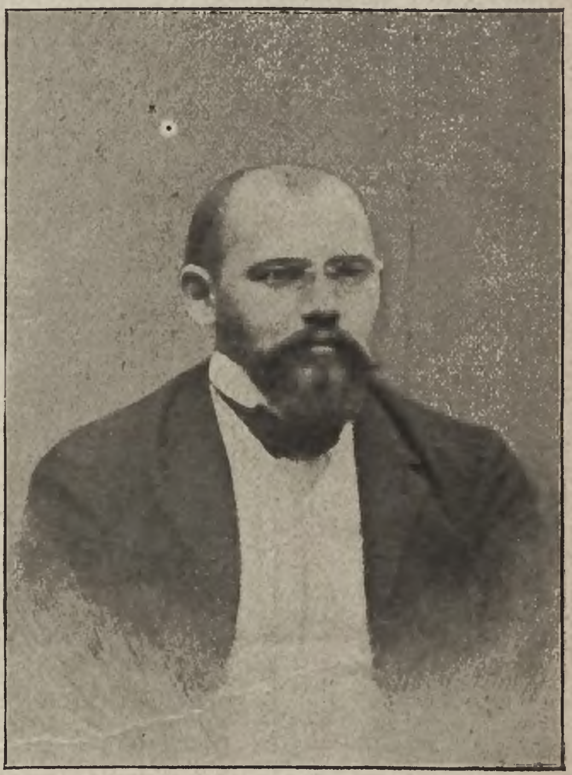
Kurs trwał trzy dni: 9, 10 i 11 grudnia, zgromadzając licznych słuchaczy w dużej sali Ochronki, którzy z ogromnem zainteresowaniem słuchali wykładów, bardzo umiejętnie przystosowanych do ogólnego poziomu umysłowego zgromadzonego ludu.

Największem powodzeniem cieszyły się wykłady weterynaryjne p. Jana Skucińskiego, który przemawiał w wielu kwestyach, bardzo żywo obchodzących włościan, wykład swój demonstrując na modelu krowy. O żywotności podnoszonych kwestyi świadczyły częste przerywania wykładu przez słuchaczów, wypowiadających swoje własne a trafne spostrzeżenia. Kobiety szczególnie zdradzały ogromne zainteresowanie w sprawach, podnoszonych przez prelegentów.

Zebrani przybyli z kilkunastu wsi okolicznych, odległych mniej więcej do 15 kilometrów od Zakopanego. Reprezentowane były wsie: Chochołów, Witów, Biały Dunajec, Glecarów, Leśnicza, Kościeliska, Poronin, Mierosiehle, Groń i kilka innych. Zaciekawienie było ogromne. Tanie książeczki, przystępnie ułożone, traktujące o kwestyach rolniczych, cieszyły się też pokupem wśród włościan. Po zakończeniu kursu serdecznie dziękowano prelegentom za trudy i wiedzę.



Oszust na wielką skalę: Szapira *false* dr. Hollender.



Proces koalicyi serbsko-chorwackiej: Adwokat, dr. Walter Rode.

Oszust na wielką skalę.

Niedawno wykryto wielkie, a sprytne oszustwo wekslowe na szkodę dr. Hofbauera w Wiedniu popełnione. Mianowicie niejaki Szapira, pochodzący z Rosyi i przedstawiający się za dra Hollendra, wyłudził od dr. Hofbauera sumę 120.000 koron, eskontując u niego weksle ze sfałszowanym podpisem znanego we Lwowie obywatela Rokacha.

Policya, zawiadomiona o oszustwie, rozpisała za Szapirą listy gończe, poszukując go równocześnie za inne jeszcze oszustwo, na szkodę dr. Munka, zięcia Rokacha. Sprzedał on mianowicie dr. Munkowi transport kaloszy rosyjskich za 50.000 kor., okazało się zaś, że towar był zupełnie bezwartościowy.

Ze Lwowa.

Pewien jegomość z prowincyi przybył po raz pierwszy do stolicy nadpełtwiańskiej i w towarzystwie swego przyjaciela zwiedza osobliwości miasta. Gdy stanęli przed pewnym domem na Bajkach, oprowadzający zwraca uwagę gościa, iż właśnie w tem miejscu popełniono przed trzydziestu laty ohydną zbrodnię.

— Ale sprawcy zapewne dotąd nie złapano! — zauważa prowincyał, który nieraz już słyszał i czytał wiele o powolności lwowskich władz bezpieczeństwa.

— Owszem, mylisz się bracie! — odpowiada na to zapytany — od dziesięciu lat jest już policya na jego tropie.

Rozwiązanie zagadek z Nr 49.

Szarada: Karnawał.

Logogryf: Kraszewski, Syn Jazdona.

Zadanie do przestawienia: Na pochyłe drzewo wszystkie kozy skaczą.

Logogryf: Każda liszka swój ogon chwali.

Zadanie konikowe:

Któż zbadał puszcz litewskich przepastne krainy
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny,
Rybak ledwie u brzegu nawiedza dno morza,
Myśliwy krąży tylko koło puszcz litewskich łoża,
Zna je tylko po wierzchu, ich postać, ich lice...

Szarada: Karnety.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: K. Fuchs Czeremchów, M. Zabieszewska Kraków, O. Górkowa Chyrów, K. Bocsoń Limanowa, R. Osadziński Lwów, M. Linowski Krosno, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, L. Arzt Warszaw W. Ossowski Warszawa, A. ...iński Tarnopol, J. Czarkowski Uhnów, H. Maciejo...ska Warszawa, S. Bukowski Kraków, W. Zaręba Rzeszów, M. Kowalski Sandomierz, S. Lindenbaum Czerniowce, J. Engelberg Rzeszów, M. Wang Przemyśl J. Nowacki Tarnopol, S. Rosenbaum Rzeszów, J. Klappholz Rzeszów, M. Herzog Wiedeń, K. Krzyżanowski Kraków, . Karwowski Kraków, L. Kamocki Rzeszów, M. Zatorska N. Sącz, J. Baziak Przemyśl, W. Ogrodziński Sandomierz, W. Ostrowski Kielce, M. Świrski Sandomierz, M. Silbernstein Wadowice, W. Rybak Rzeszów, J. Obrazaj Cieszyn, J. Jahoda Mor. Ostrawa, A. Kazimierczuk Jaworzno, J. Łopatkiewicz Rzeszów, K. Samlicki Mińsk, K. Ast Warszawa, W. Zachara Łódź, J. Kapalska Kołomyja, J. Lemański Warszawa, T. Nikiel Zakopane, W. Radoszewski Żywiec, M. Krawecka Rzeszów, M. Straszewska Warszawa, H. Liskowacki Podgórze, S. Kaczkowski Podgórze, M. Cholewicz Kraków, Z. Obertyński Lwów, H. Misiągiewicz Płock, Z. Mazaraki Radom, S. Lewiński Krosno, L Wąsowicz Lwów, G. Gryziecka Radom, W. Aleksandrowicz Krosno, J. Pick Warszawa, M. Oszacki Kraków, J. Schmidt Stanisławów, W. Rabinowicz Kołomyja, M. Wyka Sanok, W. Lasocka Sambor, M. Piękoś Brody, W. Gliwa Kraków, S. Zaremba Kraków, L. Mrozicki Zakopane, J. Bier Wadowice, M. Latoszyńska Kraków, R. Szymański Łódź, A. Balicki Kraków, S. Liebermann Rzeszów.

Nagrodę przes losowanie otrzymał **J. Baziak Przemyśl.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

MAURYCY LEBLANC.

WYDRĄŻONA IGŁA.

Tajemnicze przygody Arseniusza Lupina.

15 (Ciąg dalszy).

— Dziękuję panu za to. Przypuśćmy jednak, że pan uniknie ich kłów. Co potem? Jak pan dostanie się do zamku? Drzwi są massywne, okna zakratowane. A przytem kto pana tam poprowadzi? Jest tam ośmdziesiąt pokojów.

— Tak, lecz ten pokój o dwóch oknach na drugiem piętrze?...

— Znam go, ale w jaki sposób pan go znajdzie? Jest tam troje schodów i cały labirynt korytarzy. Choćbym dał panu kłębek nici do kierowania się nim, mimoto zgubiłby się pan.

— Niech pan idzie ze mną — zaproponował z uśmiechem Beautrelet.

— To niemożliwe. Przyrzekłem matce przyjechać do niej na Południe.

Beautrelet wrócił do przyjaciela, u którego znalazł gościnę i zaczął czynić swe przygotowania. Pod wieczór, gdy już szykował się do odjazdu, przyszedł niespodzianie Valmeras.

— Chce pan mego towarzystwa?

— Czy chcę?!...

— A więc dobrze! Towarzyszę panu. Tak, wycieczka ta kusi mnie. Sądzę, że nie będziemy tam się nudzili, a bawi mnie to, że jestem wmieszany do tej sprawy... A przytem obecność moja może nie będzie zupełnie zbyteczna. A to, proszę, jako zadatek mego współpracownictwa.

Pokazał duży, ciężki, zardzewiały klucz.

— I klucz ten otwiera...? — zapytał Beautrelet.

— Małą galeryę w poprzecznym murze, opuszczoną już od kilku wieków a której na szczęście nie pokazałem swemu lokatorowi. Wychodzi ona na pola, a właściwie na skraj lasu...

Beautrelet przerwał:

— Oni znają to wyjście. Człowiek ten, za którym szedłem, tędy musiał dostać się do parku. Mniejsza z tem, sprawa jest niezwykła i my ją wygramy. Działać jednak należy oględnie!

...W dwa dni potem do Crozant zajechał cygański wózek, zaprzężony w wychudłego konia, którego właściciel otrzymał pozwolenie ulokowania się na końcu miasteczka w opuszczonej szopie. Oprócz właściciela, którym był Valmeras, na wózku tym przyjechało trzech młodych ludzi, którzy podejmowali się wyplatania trzciną krzeseł; byli to Beautrelet z dwoma kolegami z Janson. Przebyli tam trzy dni, oczekując odpowiedniej nocy i kręcąc się w okolicy parku. Pewnego razu Beautrelet dostrzegł tajemne przejście. Było ono zbudowane między dwiema, tuż przy sobie stojącemi ścianami i zakryte kupą gruzów, na których rosły gęste, kolczaste krzaki.

Czwartej wreszcie nocy niebo pokryło się grubemi, czarnemi chmurami i Valmeras postanowił rekognoscyjną wycieczkę, z której możnaby się wycofać w razie niesprzyjających okoliczności. Wszyscy czterej przeszli przez mały lasek. Potem Beautrelet wczołgał się między krzaki, o które podrapał sobie ręce i podnosząc się powoli, włożył klucz do zamka. Ostrożnie przekręcił go. Czy drzwi otworzą się bez wysiłku? Czy z wewnętrznej strony nie zamyka ich zasuwa? Popchnął je i drzwi rozwarły się bez zgrzytu, bez szelestu. Był w parku.

— Jest pan tam? — zapytał Valmeras — proszę poczekać. A panowie niech strzegą drzwi, by nie przecięli nam odwrotu. Przy najmniejszym szmerze jedno gwizdnięcie.

Wziął za rękę Beautreleta i zapuścili się w gęstwinę drzew. Gdy doszli do głównego trawnika, znaleźli przed sobą wolniejszą przestrzeń. W chwili tej z za chmur wyszedł księżyc i oświecił zamek z licznemi ostremi, wieżyczkami. W oknach nie było żadnego światła. Wszędzie cisza. Valmeras ścisnął rękę swego towarzysza.

— Cicho.

— Co takiego?

— Psy... widzi pan...

Rozległ się pomruk dzikich psów. Valmeras zagwizdnął lekko. Do stóp jego w kilku podskokach dobiegły dwa czarne cienie.

— Oba pieski... leżcie tu... dobrze... nie ruszajcie się... warować...

Zwrócił się do Beautreleta:

— A teraz naprzód. Jestem już spokojny.

— Zna pan dobrze drogę?

— Znam! Zbliżamy się do terasy.

— A potem?

— Przypominam sobie, że na lewo, w miejscu gdzie terasa panująca nad rzeką wznosi się aż do poziomu okien parteru, znajduje się jedna okiennica, która źle się zamyka i którą można otworzyć z zewnątrz.

I rzeczywiście gdy tam dotarli, okiennica ustąpiła pod szarpnięciem. Valmeras dyamentem wyciął szybę i przekręcił klamkę. Jeden po drugim weszli do środka. Teraz byli już w zamku.

— Pokój, w którym jesteśmy — rzekł Valmeras — znajduje się na końcu korytarza. Dalej mamy wielki westibul, ozdobiony posągami, a na końcu jego schody, wychodzące na korytarz w pobliżu pokoju, zajmowanego przez pańskiego ojca.

Postąpił krok naprzód.

— Idzie pan?

— Tak, tak.

— Ależ nie, pan nie idzie... Co się panu stało?

Schwycił go za rękę. Była ona lodowata; Valmeras spostrzegł, że Izydor przykucnął na podłodze.

— Co się panu stało? — powtórzył.

— Nic... to przejdzie...

— Lecz przecież...

— Boję się...

— Boi się pan!

— Tak — wyznał naiwnie Beautrelet — to nerwy moje słabną... nieraz udaje mi się opanować je... lecz dzisiaj milczenie... wzruszenie... A przytem od czasów tego ciosu nożem sekretarza... To wkrótce przejdzie... O, już przechodzi...

Zdołał wreszcie podnieść się i Valmeras wyprowadził go z pokoju. Przeszli przez korytarz omackiem i tak pocichu, że jeden nie spostrzegał obecności drugiego. Słabe światło oświecało westibul, do którego zmierzali. Valmeras wysunął głowę. Była to nocna lampka przy schodach na stoliku, który można było rozpoznać przez liście palmy.

— Stać! — szepnął Valmeras.

Koło lampki znajdował się jakiś człowiek na czatach ze strzelbą w ręku. Czy widział ich? Bardzo możliwe. W każdym razie musiało go coś zaniepokoić, gdyż przyłożył broń do ramienia. Beautrelet padł na kolana za jakąś wielką rośliną i nie drgnął nawet, z sercem jakby skrępowanem w piersiach.

Zwolna milczenie i cisza uspokoiły człowieka na czatach. Opuścił broń, pozostał jednak zwrócony w stronę krzewu. Upłynęło dziesięć, potem piętnaście strasznych minut. Przez okno na schodach zaczęło przenikać światło księżyca. Nagle Beautrelet zauważył, że światło to posuwa się niepostrzeżenie i zanim minie nowy kwadrans, będzie mu padało prosto na twarz. Krople zimnego potu spłynęły mu po twarzy na drżące ręce. Przerażenie jego było tak wielkie, iż myślał już powstać i uciekać... Przypominając jednak sobie, że Valmeras jest tutaj, poszukał go oczyma i stanął jak osłupiały, ujrzał bowiem, a raczej odgadł, że Valmeras osłoniony roślinami i posągami, posuwa się w ciemnościach. Znajdował się już przy końcu schodów na wysokości tego człowieka. Co on zamierza uczynić? Przejść tamtędy? Ruszyć samemu, by uwolnić więźnia? Czy zdoła to uczynić?

Beautrelet nie widział go już, miał tylko wrażenie, że ma się coś stać, coś, co milczenie nawet coraz cięższe i straszniejsze przeczuwa również.

I nagle mignął jakiś cień, rzucający się na człowieka na czatach, gasnąca lampka, odgłos walki... Beautrelet pośpieszył tam. Dwa ciała tarzały się po płytach westibulu. Chciał się nachylić, usłyszał jednak jęk, potem westchnienie i jeden z walczących podniósł się i wziął go za rękę.

— Prędko... Chodźmy.

Był to Valmeras.

Przeszli przez schody i wstąpili na korytarz drugiego piętra, wysłany dywanem.

— Na prawo — szepnął Valmeras — czwarty pokój na lewo.

Wkrótce znaleźli drzwi tego pokoju. Jak tego oczekiwali, więzień był zamknięty na klucz. Musieli stracić pół godziny na wyłamanie zamka. Wreszcie weszli do środka.

Po omacku Beautrelet znalazł łóżko. Ojciec jego spał.

Obudził go ostrożnie.

— To ja, Izydor... i mój przyjaciel... nie bój się niczego... wstań... ani słowa...

Ojciec ubrał się, lecz przed wyjściem szepnął:

— Ja nie jestem sam w zamku...

— Ach! Kto? Ganimard? Holmes?

— Nie... przynajmniej ich nie widziałem.

— A więc?

— Młoda panna.

— Z pewnością panna de Saint-Veran.

— Nie wiem... widziałem ją kilka razy z daleka w parku... wychylając się z swego okna, widzę jej okno. Dawała mi znaki.

— Wie ojciec, gdzie jest jej pokój.

— Tak, na tym korytarzu, trzeci na prawo.

— Pokój niebieski — szepnął Valmeras. — Drzwi są podwójne, mniej będziemy mieli kłopotu.

W istocie jedna z połów drzwi wkrótce ustąpiła pod ich naporem. Ojciec Beautrelet podjął się uwiadomienia młodej panny.

W dziesięć minut potem wychodząc razem z nią z pokoju, rzekł do syna:

— Miałeś racyę... panna de Saint-Veran.

Zeszli we czworo. Na dole przy schodach Valmeras zatrzymał się i pochylił nad leżącym czło-

wiekiem, poczem pociągnął swych towarzyszy za sobą do terasowego pokoju i oznajmił im:

— Nie jest zabity, będzie żył.

— Ach! — westchnął Beautrelet z ulgą.

— Na szczęście ostrze mego noża zwinęło się i przez to cios nie był śmiertelny. A zresztą nie warci są tacy opryszki żadnej litości.

Dwa psy, czuwające na dworze, powitały ich radosnem skomleniem i odprowadziły aż do przejścia. Tam Beautrelet zastał na straży dwóch swych kolegów. Mała gromadka ostrożnie wysunęła się z parku. Na zegarze zamkowym wybiła trzecia godzina rano. To pierwsze zwycięstwo nie mogło zaspokoić Beautreleta. Natychmiast zaczął wypytywać ojca i młodą pannę o mieszkańców zamku, a w szczególności o zachowanie się i przyzwyczajenia Arseniusza Lupina. Dowiedział się od nich, że Lupin tylko co trzeci lub czwarty dzień przyjeżdżał wieczorem samochodem, a nazajutrz rano odjeżdżał. Za każdą swą bytnością odwiedzał obu więźniów, którzy wyrażali się o nim z pochwałami za jego postępowanie wobec nich i niezwykłą uprzejmość. Narazie nie było go w zamku.

Oprócz niego widywali tam tylko starą kobietę, zajętą w kuchni i dwóch mężczyzn, którzy ich po kolei pilnowali, nie odzywając się jednak nigdy ani jednem nawet słowem; sądząc z ich twarzy i ruchów, byli to jacyś podrzędniejsi wspólnicy.

— W każdym razie mamy dwóch — rzekł Beautrelet — a nawet z tą starą kobietą trzech współuczestników jego występków. Jest to zdobycz nie do pogardzenia. Nie traćmy więc czasu...

Gdy tylko ulokował ojca i młodą pannę, wskoczył na rower i pojechał do Eguzon, gdzie obudził żandarmeryę i poruszył wszystkie władze, tak iż o godzinie ósmej był już w Crozant razem z brygadyerem i ośmioma jego podwładnymi. Dwóch z tych ludzi pozostało na straży przy wózku, dwóch innych stanęło przy przejściu, czterech zaś wraz z swym naczelnikiem, Beautreletem i Varmelasem skierowało się do głównego wejścia zamku.

Jednak było już za późno. Wielkie drzwi zastano otwarte, a jakiś wieśniak opowiedział im, iż widział, jak przed godziną wyjechał z zamku samochód. Istotnie poszukiwania nie dały żadnego rezultatu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, członkowie bandy musieli już stąd umknąć. Znaleziono tylko trochę rupieci, starego ubrania i bielizny: to było wszystko. Najwięcej jednak zdziwiło Beatreleta i Valmerasa zniknięcie rannego. Nie mogli dojrzeć najmniejszego śladu walki, ani jednej nawet kropli krwi na płytach kamiennych w westibulu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożył W. Rapacz, Żarki.

Uzupełnić litery, by powstały odpowiednie wyrazy, których początkowe głoski, czytane z góry na dół, utworzą znane polskie przysłowie.

— ak
— zew
— atory
— loto
— pal
— an
— to
— os
— wiat
— iraże
— wa
— poda
— ok
— wieczki

Szarada.

Ułożyła H. Mokrzycka, Romanówka.

Czwarta i pierwsza kobieta salonu,
Pierwsza i druga służy jej do dobrego tonu,
Trzecia i czwarta zła i dobra bywa
Zależy od tego, od kogo przybywa.
Pierwsza i trzecia bez kształtu i ciała
Ale już niejednemu we znaki się dała.
Szukając całości, nie zmęczysz się wcale,
Jest to bowiem zabawa, znana w karnawale.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył W. Rapacz, Żarki.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: eocya, cienki, temi, hak, Ten, Men, Niobe, Lie, mag.

Krzyż magiczny.

Ułożyła H. Mokrzycka, Romanówka.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a
a a a
a a a
b b c c g g i i k
k o o o o n n n n
n n n n r r r r s
t t t
t t y
y y y

Znaczenie wyrazów: 1. Imię męskie. 2. Rodzaj pokrewieństwa. 3. Rodzaj kanwy.

Trójkąt magiczny.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, które utworzą wyrazy o podanem niżej znaczeniu. Pierwszy szereg poziomy i pionowy, czytany z góry na dół, da imię męskie.

□ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukane imię. 2. Inaczej rozbójnik. 3. Imię żeńskie. 4. Filozof rzymski. 5. Dziennik angielski. 6. Szata kościelna. 7. Imię biblijne. 8. Zaimek 9. Samogłoska.

Logogryf.

Ułożył T. J. Lwów.

Środkowe litery odpowiednio wynalezionych wyrazów dadzą imię i nazwisko znanego polskiego powieściopisarza historycznego.

— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —

Znaczenie wyrazów: 1. Odmiana wołu, żyjąca w Ameryce. 2. Rzeka we Włoszech. 3. Pierwiastek chemiczny. 4. Modlitwa Mahometan. 5. Dopływ Dunaju. 6. Ryba rzeczna. 7. Imię męskie. 8. Służy do łapania koni. 9. Jeden z kantonów Szwajcaryi. 10. Mieszkaniec doliny Prutu. 11. Grzyb. 12. Moneta złota. 13 Kilka zgodnych tonów. 14. Owoc. 15. Urzędnik turecki. 16. Odmiana kawy. 17. Góra w Grecyi.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Stanisława Antoniego Muellera:* **Henryk Flis.** Powieść, 2 tomy.